

WYBÓR PISARZÓW POLSKICH

DLA DOMU i SZKOŁY

No 21

MIECZYŚLAW ROMANOWSKI

DZIEWCZĘ z SĄCZA

powieść poetycka

ZĘ WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI

Henryka Gallego



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA i WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER i S-KA

1909

Cena 20 kop.

WYBÓR PISARZÓW POLSKICH DLA DOMU i SZKOŁY

pod kierunkiem

Bronisława Chlebowskiego, Ignacego Chrzanowskiego i Henryka Gallego.

Pracy nad wychowaniem młodych pokoleń konieczne jest harmonijne współdziałanie domu i szkoły. Młodzież, kształcąca się w zakładach polskich, wtedy dopiero stać się może prawdziwie polską, gdy w domu, w kole rodzinnem znajdzie odpowiednią atmosferę, gdy będzie widziała u starszych, u najbliższych żywe interesowanie się zarówno sprawami narodowymi chwili obecnej, jak i przeszłością ojczyzny, gdy wyrazem tego zainteresowania się, żywości i siły uczuć narodowych będzie, obok czynnego udziału w pracy społecznej, dbałość o poznanie dziejów i literatury ojczystej.

Każdy dom polski, troszczący się o swą „ojcowiznę,” powinien posiadać księgozbiór, mieszczący twory najlepszych pisarzy narodowych, i dzieła, objaśniające przeszłość i stan obecny narodu.

Czytanie jednak o tyle nam przynosi korzyść, o ile łączy się z należytem zrozumieniem i przyswojeniem treści. Im treść ta jest donioślejsza, im głębsze zawiera myśli i uczucia, tem trudniej ją pojąć i przyswoić bez odpowiedniego przygotowania, bez wskazówek i objaśnień, pozwalających czytelnikowi dotrzeć do głębin duszy twórcy.

Nie tylko młodzież kształcąca się, ale i ludzie dojrzały nie rozumieją należycie najważniejszych pomników dawniejszej literatury i najlepszych utworów współczesnych pisarzy bez wskazówek, wyjaśniających stosunek dzieła do życia duchowego autora, związek formy i treści danego dzieła z właściwościami duszy i kolejami życia twórcy.

Chcąc zadośćuczynić tej pilnej potrzebie naszego życia duchowego, zamierzamy w naszym wydawnictwie dostarczyć czytelnikom wyboru najlepszych utworów dawniejszych i nowszych pisarzy polskich, zaopatrzonych we wstępy, podające wskazówki, niezbędne dla należytego zrozumienia myśli i osnowy utworu, a także w objaśnienia wyrazowe i rzeczowe, zaznajamiające z przestarzałemi czy też mało znanemi formami języka i szczegółami faktycznymi.

W wyborze utworów kierować się będziemy zarówno względami na ich wartość treściową i formalną, jak też na ich odpowiedniość dla potrzeb duchowych młodzieży i zadań wychowawczych kół rodzinnych i zakładów szkolnych.

WYBÓR PISARZÓW POLSKICH

DLA DOMU i SZKOŁY

No 21

MIECZYŚLAW ROMANOWSKI

DZIEWCZĘ Z SĄCZA

powieść poetycka

ZE WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI

Henryka Gallego



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA i WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER i S-KA

1909

Wydano z dubletów
Centralnej Biblioteki Wojskowej

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW 0343814



340930

Druk. i Lit. Jana Cotty w Warszawie, Kapucyńska 7.

Autor „Dziewczęcia z Sącza“, Mieczysław Romanowski, ujrzał światło dzienne dnia 12 kwietnia 1834 roku, we wsi Żukowie pod Kołomyją we wschodniej Galicyi, jako najmłodsze z pięciorga dzieci Erazma Romanowskiego, dzierżawcy Żukowa, i żony jego, Agnieszki z Głowackich, ludzi niezamożnych i skromnych, ale ożywionych gorącym duchem patriotyzmu. Z domu więc wyniósł przyszły poeta płomienne zamiłowanie ideałów narodowych, które miały stać się drogowskazami jego życia.

Nauki szkolne pobierał zrazu w Kołomyi, potem zaś w Stanisławowie, poczem wstąpił do uniwersytetu lwowskiego na wydział prawny. Stało się to w roku 1852, a już w roku następnym 19-letni poeta zamieszcza pierwsze plody swego natchnienia w *Nowinach* lwowskich; później drukuje również i w *Dzienniku literackim*.

Rozwój talentu Romanowskiego datuje się dopiero od r. 1857, kiedy po ukończeniu studyów uniwersyteckich znalazł, jako stypendysta, zajęcie w bibliotece Ossolińskich. Tu zbliżył się do dwu badaczy naszej przeszłości narodowej: Karola Szajnochy i Augusta Bielowskiego, którzy zwrócili jego wyobraźnię od gawęd, powiastek wschodnich i liryk do obrazów przeszłości narodowej. Studjom historycznym zawdzięczamy dwa największe pomysły Romanowskiego, tragedję: „Popiel i Piast“ i poemat: „Dziewczę z Sącza“.

R/198/2012

35,00p

Dalsze koleje życia naszego poety dadzą się w kilku słowach opowiedzieć. W r. 1860 przyjmuje obowiązki pisarza bibliotecznego w Zakładzie Ossolińskich, a w roku następnym zostaje stałym członkiem redakcji *Dziennika Literackiego*, na którego szpaltach nazwisko jego spotyka się obok imion: Ujejskiego, Pajgerta, Szujskiego. Zamieszczą tu Romanowski, między innymi, rozprawki historyczno-literackie: „O legionach polskich“, „Jakób Jasiński“. Jednocześnie zaś pisuje i do *Gazety Narodowej*.

Wybuch 1863 roku porwał za sobą 29-letniego, o zapalnej wyobraźni i gorącym temperamencie młodzieńca. On wszak zawsze marzył o burzy, piorunach, walkach i zwycięstwach. Doczekał się walki — nadzieja zwycięstwa zawiodła go...

Już w początkach lutego usiłował przedostać się przez granice Królestwa, odpokutował tę chęć kilkotygodniowym aresztem. Wreszcie w marcu, po ostatnich odwiedzinach w Żukowie i serdecznym pożegnaniu z rodzicami, połączył się z oddziałem Lelewela (Borelowskiego). W kilka tygodni potem, dnia 24 kwietnia zginął na polu walki, w potyczce pod Józefowem w lubelskiem.

Krótki był żywot poety, ale nie marny. Pozostawił bowiem po sobie, mimo przedwczesnego zgonu, obfitą i piękną spuściznę poetycką, która zamknęła się w czterech tomach, wydanych, z pierwszych druków i rękopisów, przez J. Amborskiego we Lwowie w r. 1883. Tam poznamy człowieka i poetę.

A dusza to była piękna, wzniosła i gorąca. A przede wszystkim — gorąca. „Straszno mi, Boże — woła w jednym z wierszy, parafrazując słynny hymn Słowackiego — bo „w podłość tyje ludów tłuszcza dzika“, każdy więc

piorun, co grzmi i zapala, wita, jak brata, na niebios lazurze; wita każdego, co powraca zdala, pyta, ile jest gromów w czarnej chmurze, i drży, gdy ptak go pomija w milczeniu, bo nam na gromy długo czekać może, bo bez piorunów z takim utrapieniem straszno mi, Boże!“ On nie znosi ciszy, bo „cisza nie wie gdzie do celu, lecz — wstecz“, bo, choć szaleniec, kto zaraz po burzy chce burz“, lecz „kiedy skwar kwiaty do grobu już nagnie, to chyba dziecina piorunów nie pragnie!“

Ale w tem umiłowaniu burz i walk niema nic chęci niszczycielskiej, niema nienawiści do rodzaju ludzkiego: on pragnie nie huraganu, co łamie i niweczy wszelkie stworzenie i jego dobytek, lecz rodzajnego deszczu, co ożywia wszelkie płody ziemi, a w serca ludzkie wlewa radosną nadzieję obfitych plonów. On chce dalej prowadzić dzieło, rozpoczęte przez mistrzów romantyki, jako ostatni ich spadkobierca, jako człowiek, który śmiercią swą, zgonem walecznych przypieczętował wielką epokę naszej poezji wieszce: po roku 1863 bowiem rozpoczyna się nowa era naszego życia umysłowego. Choć bowiem wielkie pieśni wielkich twórców przebrzmiały i oni sami „w grób się kładą“, nie możemy zapomnieć tych hasła, które oni głosili, a więc „wieścili burzę... burzę daj nam, Panie!“...

Drugi dźwięk z akordu duchowego poety to smutek, ból i melancholia. Choć bowiem „pragnął miłości“, ludzie mu „żółć podawali“, „z cierni tkana jego dola“ — i tyle „kolców ukrytych utkwilo mu w nodze“.

Ale ta melancholia nie jest chorobą i zanikiem woli, lecz ożywym bodźcem do czynów: on nie umiałby rozpaczać i płakać bezradnie, rozmyślać beczynnie o marnościach światowych. Jego lutnię możnaby nazwać męską

i młodzieńczą zarazem: tyle w niej hartu ducha, energii życiowej, siły. Za Słowackim, który w „Lilli Wenedzie“ wypowiedział szczytną zasadę: „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“, i Romanowski woła do serca swego: „O! serce, tobie życiem żyć nie takiem, ni z myślą płakać, że róż kilka ginie: tędy — z żelaza kuta droga twoja. Idź, bo cię przeklnę, ty, młodości moja!“ Gdy w strunie swej lęzę posłyszysz, to „zła to struna“, i gotów lutnię roztrzaskać „o brzeźne skały“; a chociaż dławi go nieraz zmora melancholii, odpycha ją precz, jako rzecz niemęską i niegodną prawego syna ojczyzny.

Takie jest oblicze duchowe autora „Dziewczęcia z Sącza“, poematu, który stoi najwyżej ze wszystkiego, co dotąd napisał Romanowski. Rzec, osnuta na przedmiocie ściśle historycznym, na aktach i archiwach, gdzie poeta odnalazł wszystkie niemal imiona uczestników insurekcji nowosądeckiej z roku 1655, zaleca się przedewszystkiem samą swoją treścią. Walka w obronie ojczyzny i wiary, usiłowanie zrzucenia jarzma obcego najeźdźcy, wroga i heretyka, uwieńczone świetnem zwycięstwem, które nie kończy się ucieczką Szwedów z Nowego Sącza, ale idzie dalej, poprzez odstąpienie Muellera od Jasnej Góry, konfederację tyszowiecką, śluby Jana Kazimierza, tryumfy Czarnieckiego, aż do wyprawy duńskiej i traktatu oliwskiego, przedmiot to wzniosły i odpowiadający najwierniej charakterowi życia i twórczości naszego poety.

Drugi wzgląd, który należy mieć na uwadze przy ocenie „Dziewczęcia z Sącza“, to wcielenie idei demokratycznej, która przemawia do nas z kart tego utworu. Autor potrafił tu o przedmiot, zgoła nie uwzględniany w naszej poezji romantycznej: udział mieszczan w ży-

ciu narodowem XVII wieku. I widzimy, że te lekceważone przez szlachtę „łyki“ ożywione są również gorącym uczuciem patriotycznym, więcej nawet, pierwsi zrywają się do boju i wypędzają z miasta wrogów, wtenczas, gdy cała szlachta niemal bez wystrzału opuściła swego prawego władcę, uznawszy panem nad sobą Karola Gustawa. Jest więc „Dziewczę z Sącza“ pod tym względem jakby uzupełnieniem „Pana Tadeusza“, od którego, oczywiście, stoi nierównie niżej pod względem artystycznym. Nie ulega wątpliwości, że poemat Romanowskiego zrodził się pod wpływem „Pana Tadeusza“, a także tego utworu, który był wzorem Mickiewicza: „Hermana i Doroty“ Goethego.

Pierwszemu z nich zawdzięcza „Dziewczę z Sącza“ dosadność i plastykę typów mieszczkańskich, przypominających pod tym względem charakterystyczne figury braci Dobrzyńskich, a także sceny niektóre, jak np. naradę mieszczan w gospodzie (por. sejmik w Dobrzyniu), walka ze Szwedami (por. bitwę w Soplicowie) i t. p.

„Hermana i Dorotę“ przypomina „Dziewczę z Sącza“ w tych scenach, gdzie występuje dwoje nieszczęśliwych kochanków: Oskar i Basia. Wieje od nich czarem czystego, szlachetnego uczucia, a zarazem smutku i sielskiej prostoty.. I dlatego te sceny miłosne, ta piękna sielanka w przeddzień rzezi i pożogi należą do najcelniejszych zalet utworu.

Akcyja poematu przeprowadzona jest doskonale, stopniowanie wydarzeń znakomite. Zaczynając od cichej sceny rodzajowej w „bielonej izbie“ Janasza, idzie szereg obrazów, coraz silniej wstrząsających wyobraźnię, aż do wielkiego wybuchu namiętności w scenie walki. Potem zaś mieszają się zwichrzona żywiły, spokój i cisza zapadają

w dusze — i kończy się znów cichym obrazkiem rodzajowym: Bartek ciosa modrzewiową trumnę dla swej panny, żegna się z nią i idzie tam, dokąd go wzywa obowiązek i uczucie patriotyczne — walczyć pod wodzą Czarnieckiego.

Przedmowa autora.

Rzecz ta wzięta jest z czasu, kiedy cała Polska zalaną była wojskiem Karola Gustawa aż po Tatry; na zachodzie grasował sprzymierzony z nim niewierny lennik polski, kurfürst brandeburski ¹⁾, wschód zaś i Litwę niszczyło zbuntowane Kozactwo ogniem i szablą. Nie było prawie kąta w Polsce, gdzieby nieprzyjacieli nie dotarł zniszczeniem. Król musiał uchodzić na Śląsk do Głogowy; wojsko, potworzywszy związkowe koła, opuściło hetmanów, Czarniecki jeden trzymał się długo w Krakowie, wspierany męstwem młodzieży akademickiej i miejskiej; w końcu ustąpił i on przemocy. Na całą Polskę nie zajęta była jedna tylko Częstochowa.

Tymczasem zbierał się na Podgórzu Krakowskiem i w Tatrach materiał palny do wielkiego dramatu wyswobodzenia, którego pierwszym aktem była konfederacja tyszowiecka ²⁾, dwa zaś ostatnie skończyły się w Danii i w Rosyi ³⁾ z sławą oręża polskiego.

¹⁾ Kurfürst, kurfirst = elektor, tytuł jednego z dziewięciu książąt Rzeszy niemieckiej, którzy mieli prawo obierać cesarza. Księciem elektorem pruskim był w owe czasy Fryderyk Wilhelm, zwany Wielkim Elektorem (1640 † 1688).

²⁾ Konfederacja tyszowiecka zawiązała się w celu obrony wiary i ojczyzny przeciw heretykom-najeźdźcom.

³⁾ Mowa tu o wyprawie duńskiej Czarnieckiego (1658—9 r.), oraz o walkach na Litwie z Chowańskim i Dołhorukim (1660 r.).

Nowy-Sącz, zagrożony rzezią od szwedzkiego pułkownika Sztajna w razie, gdyby kogo schwytano na znoszeniu się z Czarnieckim, zostawał przez parę tygodni w nieustannej trwodze; wiedział bowiem prześwietny magistrat, że tak niektórzy z szlachty, mieszkającej w Sączu, jako też całe młodsze mieszczaństwo, przebrane w świty wieśniacze, znosiło się ciągle z Czarnieckiego ludźmi. Przy pierwszym schwytaniu zatem mogło przyjść do rzezi, a co gorsza, prawie nie było się czem bronić, bo Sztajn zabrał broń miejską i dał ją do schowania szlachcicowi Wielogłowskiemu, arianinowi. Rzecz w końcu przyszła do przesilenia. Szwedzi postanowili wyciąć i spalić miasto, aby nie mieć nieprzyjaciela za plecami na tak korzystnym stanowisku, jak Sącz; wypadło im bowiem wyruszyć z miasta przeciw Czarnieckiemu, który przeciągał po Podgórzu na czele pułku królewskiej hussaryi. Mieszczanie atoli, dowiedziawszy się o ich planie, znieśli się z gromadą z Nawojowej ¹⁾ i z góralami pod dowództwem Wąsowicza i uprzedzili Szwedów o trzy dni w planie.

Powstanie w Sączu, zdziałane 13-go grudnia 1655, rozszerzyło się wnet po całym Podgórzu. Szlachta z dworców, wieśniacy z chat, zbrojni w kosy i siekiery, szli i bili wałęsające się po Podgórzu niedobitki sądeckie.

Czarniecki, połączywszy z swym pułkiem oddziały powstańców, ruszył natychmiast w lubelskie, a stamtąd do Tyszowic w Belzkie, gdzie Rewera Potocki, W. H. K. ²⁾, Stanisław Lanckoroński, H. P. K. ³⁾, Krzysztof Tyszkiewicz,

¹⁾ Nawojowa — wieś w pow. nowosądeckim, założona przez Nawoja z Tęczyna, kasztelana krakowskiego († 1325 r); udział gromady nawojowskiej w napadzie na Szwedów 1655 roku historyczny.

²⁾ W. H. K. — Wielki Hetman Koronny.

³⁾ H. P. K. — Hetman Polny Koronny.

wojewoda czernihowski, Jędrzej Potocki, oboźny kor., i Hyacynt Szembek, starosta bogusławski, spisali pamiętny akt konfederacyi tyszowieckiej na obronę kraju. Czarniecki był duszą całej tej sprawy. Konfederacya stanęła 29 grudnia; cztery dni przedtem odstąpili Szwedzi od oblężenia Częstochowy. Tak zaświtała znowu zorza polskiemu orężowi

Podania sądeckie niosą, że w pewnej dziewczynie miejskiej rozkochał się oficer dragonów *Pontusa de la Garde*. Kiedy Sztajn rozkazał wojsku gotować się do rzezi, nie mógł ten przenieść, aby jego kochanka wraz z krewnymi ginęła, i ostrzegł ją, że będzie rzeź, choć Sztajn nakazał zachowywać tajemnicę pod karą gardła. Od niej to dowiedziało się mieszczaństwo o niebezpieczeństwie i miało czas uprzedzić Szwedów.

Smutną rolę szpiegów szwedzkich grali w tej sprawie Wespazyan Szlichting, arianin, dziedzic Dąbrowej, autor pism, za które sejm odsądził go od czci; — Floryan Siemichowski, syn najgodniejszego ojca, dwukrotny apostata ¹⁾ z arianstwa do katolicyzmu i z katolicyzmu do arianstwa, ścięty za wyrokiem miejskim w Sączu, i Żyd Finkel, arendarz Konstantego Lubomirskiego, starosty sądeckiego.

Winienem tu dodać, że tylko Basia, Bartek, Janusz, Babka i Jacek są postaciami sfingowanymi ²⁾, wszystkie inne osoby występują w roli i godności, jak je zachowały akty sądeckie.

¹⁾ Apostata — odstępca.

²⁾ fingować — zmyślać (łac. *fingo*).

DZIEWCZĘ Z SĄCZA.

WIECZOREM.

W bielonej izbie, za cisowym stołem,
Pod wieczór czworo siedziało ich społem.
Bliżej kominka dziadek Janusz, dalej,
Kędy się lampa przed Chrystusem pali,
Babka; pod oknem siedziała dziewczyna,
Basia, kwiat Sącza, wnuczka ich jedyna.
Naprzeciw Bartek, cieśla z cieślów sławnych;
W Sączu ród jego należał do dawnych,
On sam już sławą cieszył się, choć młody,
A Bóg mu przytem nie skąpił urody.

Słońce, za góry zachodząc czerwono,
Zajrzało oknem w izbę ubieloną.
A że dziś była niedziela adwentu,
Więc spoczywali wszyscy gwoli świętu.
Janusz służebnym polecił gospodę,
Garniec i wino; z księgi dziewczę młode
Czytało świętych spisane żywoty.
Cieśla w nią patrzył, poprawiał kapoty,
Ilekroć Basia czytanie przerwała.

Babce u czoła drzemka się wieszala;
Pod ścianą z niemi stał jej kołowrotek,
Z kłębuszkiem teraz igrał Basi kotek.

Właśnie skończyła Basia u rozdziału,
 Gdy Janusz z krzesła podniósł się pomału
 I, słowem księgi do głębi przejęty,
 Rzekł: „Wielkiś w Twoich cudach, Panie święty,
 Wielkiś, bo wznosisz, gdzie zrozpaczy¹⁾ głowa;
 O, cudem dotąd stoi Częstochowa,
 I wierzę, że w niej Luter nie zagości.
 A nas tu gnębią, skórę drą od kości
 Szósty już tydzień! Ha, skacz do muzyki,
 Jak ci zagrają Szwedy najezdniki...
 Niema sił...“ Chmurny przeszedł przez świetlicę²⁾,
 A potem utkwiał wzrok w Bogarodzicę,
 Co złote ramy nakształt wieńca miała,
 I stał w zadumie, — łza po łzie spadała
 Na wąż; włos biały zsunął się na czoło;
 On włos odgarnął, westchnął, otarł połą
 Łzy i wnet mowę obrócił do cieśli:
 „Rzeczcież! nowego coście też przynieśli?
 Ja trzeci tydzień nie chodzę do miasta,
 Ni ja, ni Basia, ni moja niewiasta:
 Jak zwierz, człek w norę przed Szwedem się czai,
 Bo jak staremu chodzić śród tej zgrai?“

Bartłomiej odrzekł: „Marne powiadanie!
 Nową złość ważą ze Szwedem arianie.
 Szlichtyng i Florek Siemichowski, zbójca,
 I ten żyd, Finkiel, komendanta trójca,
 Bawią na zamku; oni rada tajna
 Tego łupieżcy, pułkownika Sztajna.

¹⁾ zrozpaczy — pograży się w rozpaczy.

²⁾ świetlica — widna, duża izba w chacie włościańskiej; wogóle duży pokój.

Potem Barycki, podatków poborca,
 Był dziś dwukrotnie ciągany do dworca
 I pan Szydłowski, patron¹⁾ kollegiaty²⁾ —
 A coś dwu poszło do wieży za kraty;
 Zaś Stare-Miasto opuściły panny³⁾ —
 I tak się mnoży ucisk nieustanny!“

„O, dalej kory nie stanie na drzewie!“ —
 Wnet stary Janusz podchwycił mu w gniewie.
 „Straszne to Boga próby, — raczej kary,
 Tak marnie idą, i takie ofiary!
 Tu był król z nami — dziś kędys w Głogowie...
 A nasz Bylina, rotmistrz, padł w Krakowie...⁴⁾
 I Czarnieckiego, żelazne to ramię,
 Zgina Bóg, choć go jeszcze nam nie łamie...
 Hetmany bez wojsk, Starosta⁵⁾ na Spiżu⁶⁾,

¹⁾ patron kościoła — fundator świątyni i jego potomkowie, którzy mieli prawo przedstawiania biskupowi kandydatów na wakujące miejsce w kościele.

²⁾ kollegiata — kościół, przy którym jest kapituła, katedra bez własnego miejscowego biskupa; kollegiatę w Nowym Sączu założył Zbigniew Oleśnicki.

³⁾ „Starem Miastem“ nazywają do dziś dnia w tamtej okolicy Stary Sącz. Przed gwałtami szwedzkiego żołdactwa i arianów zmuszone były zakonnice tamtejsze uchodzić i kryć się po szlacheckich dworach (P. A.).

⁴⁾ Bylinowie pochodzili z Jeżowej w ziemi sądeckiej. Rodzina ta była powszechnie szanowana tak przez mieszczan, jako i przez lud. Rotmistrz Bylina zginął w Krakowie w czasie oblężenia, czyniąc wycieczkę na czele studentów i czeladzi (P. A.).

⁵⁾ mowa tu o staroście nowosądeckim; starostowie na grodach mieli władzę sądowo-administracyjną z ramienia króla.

⁶⁾ Spiż (łac. *Scepusia*, niem. *Zips*) — kraj, w Tatrach położony, nad rzeką Popradem, przedmiot współubiegania Polski i Węgier, od 1506 r. należał do Polski.



A my w ucisku, jak przy nowym krzyżu,
 Korzym się...“ I stał chwilę zamysłony.
 Niedługo potem zwrócił się do żony
 I rzekł: „Musimy pomodlić się razem;
 Zapalcieź lampę przed Kingi ¹⁾ obrazem,
 Bo czcią jej ziemia nasza się zastawia
 I od niewoli święta Kinga zbawia;
 Za jej wstawieniem niech was Bóg pociesza“.
 Posłuszna żona wnet lampę zawiesza,
 I klękli, jako było we zwyczajach:
 Starzy na przodzie, młoda para z kraju.
 A po modlitwie Janusz wstał rzeźwiejszy
 I rzekł: „To zamysł Szweda nie dzisiejszy,
 Trzykrotnie już nas zarwał po szatańsku.
 Pomnę, gdy byłem za wódkami w Gdańsku, —
 (A byłem jeszcze za Adolfa ²⁾ króla,
 Co to go w Niemczech ugodziła kula)
 Pod wieczór jakoś, w kupieckiej gospodzie
 Z jednym tam Szwedem zszedłem się na miodzie.
 Ten, że miał z nami stosunki handlowe,
 A zmyślny, więc znał dobrze polską mowę.
 I siedzim; — szklanka mijąca po szklance,
 I żywo jakoś było w pogadance.
 Aż w końcu — patrzcie! co rzekł dyabeł kusy, —
 Wstał, na głos w izbie wrzasnął: — „Nasze Prusy,
 Nasze Inflanty, — Bałtyk, bo tak chcemy,
 A gdy nie dacie sami, — odbierzemy

¹⁾ Św. Kinga, Kunegunda — żona Bolesława Wstydlwego, wedle podania, nad Dunajcem ukrywała się przed Tatarami.

²⁾ Gustaw Adolf, król szwedzki (1611 † 1632) — uczestnik wojny 30-letniej, padł w bitwie pod Lützen.

I wymusimy na waszym narodzie...“
 Nie skończył — resztę słów utopił w miodzie,
 Bo pełny kufel pochwycałem w rękę
 I tak Szwedowi ciałem nim w paszczkę,
 Że na podłogę stoczył się, jak długi;
 Za drzwi go potem wyrzucili sługi“ —
 Usiadł i ręką podparł siwą głowę,
 Myślą rozwinął przeszłych dni osnowę;
 I ujrzał siebie w dragońskim szyszaku,
 Konno z Rewerą ¹⁾ na stepowym szlaku;
 Wojował z młodu, gdyż bywał burzliwy;
 I wspomniał sobie tatarskie cięciwy,
 I jako z wojny wrócił do rzemiosła,
 Jak go znów wojna aż za Boh zaniosiła,
 Potem na Szweda, — Chocim ²⁾, — Kozaczyzna...
 I spokój, — powrót, — na głowie siwizna,
 Praca — śmierć dzieci... Dalej już nie szuka,
 Spojrzał: z nich jedna została mu wnuka...
 I westchnął: „Wszystko, dzieci, w Bożej woli!
 Aleć On naszej pofolguje doli;
 Jak pomnę, różnie bywało już z nami —
 Toż koniec będzie i z tymi Szwedami.“

Lecz babka przerwie: „Na Chrystusa rany
 Milczcie! Na górze Szwed kwaterowany.
 Strach, jak mróz ostry, idzie mi wskrós duszy —
 Bójcież się Boga, ściany mają uszy;

¹⁾ Stanisław Rewera Potocki, hetman wielki koronny, zwycięzca Kozaków, Szwedów, Rakoczyn († 1667 r.).

²⁾ Słynna obrona Chocimia w r. 1621 przeciw Turkom pod dowództwem sułtana Osmana; na czele Polaków stali Chodkiewicz i Lubomirski.

Podsłucha! i cóż? jakież wtedy opór?
 Wezmą was, głowy podacie pod topór,
 I w grób; a my co? my z Basią, sieroty,
 Musiałybyśmy iść pod ludzkie płoty.
 Bodajbym tego nigdy nie dożyła!⁴
 Umilkła i krzyż na piersiach złożyła.

Dziewczę spokojnie słuchało rozmowy,
 Lecz, zda się, babki urażona słowy,
 Wstała: — rumieniec wykwitł na jej licach,
 Skier dwoje żywo spłonęło w źrenicach,
 I rzekła: „Babko, nie miejcie obawy,
 Pan Oskar dzisiaj na zamku ma sprawy.
 Widziałam, jako tu przyszedł z rozkazem
 Trębacz, — a potem do Sztajna szli razem
 W miasto. On, — choćby sływał dziadka mowy,
 Pewnam, — nikomu włos nie spadłby z głowy.
 A przytem zważcie, to nie żołdak prosty;
 Oficer i syn szwedzkiego starosty...
 A jaki dobry! — Wszak mówią sąsiedzi,
 Co to się z innym Szwedem człek nabiedzi.
 On zaś czy spojrział na nas kiedy krzywo?
 Gdzie tam, za wszystko dziękuje tak żywo,
 O, bo też dusza w poczciwości rzadka!
 A jak on lubi i babkę, i dziadka,
 Was, Bartku, i... mnie...“ Tu mówić przestała
 Zmieszana, jednak pokryć to umiała
 I rzekła dalej: „Gdy siądę w gospodzie,
 By was wyręczyć przy winie i miodzie,
 To, ledwie przyjdzie Oskar i powita,
 Zaraz się grzecznie o was wszystkich pyta,

Rozmawia, życie opowiada swoje...
 Oskar ma także w domu dziadków dwoje
 I siostrę, jak ja; a mówił osobno,
 Że siostra do mnie całkiem jest podobną.
 Na wojnę poszedł, bo mu dziad poradził, —
 O, nie, on zacny, onby nas nie zdradził“.

Lecz Bartek na to: „Luter i poczciwy?
 Tego pod słońcem niema, jakom żywy!
 Wiercie mi, Basiu: kiedy słodko gada,
 Wąż to! a w śpiące serce się zakrada,
 Czy słówko jakie od was nie wyludzi;
 Strzeżcie się, bo on żądłem was obudził!“
 I powstał, z czoła uciekła mu smętność,
 Z ócz mu gorąca błyskała namiętność,
 Dłoń ścisnął, jakby w dłoni toporzysko
 Czuł, i rzekł: „Wiecie? ratunek nasz blisko!
 Dobrze, że niema Lichtenawa w domu...
 Powiem, że jest nas poratować komu.
 Pokąd gór naszych dzikich i wyniosłych,
 Pokąd górali, jak smereki ¹⁾, roślých,
 A na toporach dopokąd stal czysta,
 Potąd nam nie paść u stóp antychrysta ²⁾.
 Dziś tydzień, jako przebiegałem góry,
 Widziałem ludu nieprzebrane chmury,
 Słyszałem, wszyscy Szweda nienawidzą:
 Królewscy, ci się Lutrem, jak psem, brzydzą —

¹⁾ smerek — świerk (prow.).

²⁾ antychryst — przeciwnik Chrystusa, heretyk.

Co który wspomni, że jego gurmana¹⁾
 Z koroną²⁾, zaklnie w Szweda, jak w szatana.
 Nawet zbójnicy: Litmanowski Nędza³⁾
 U Obidzkiego spowiadał się księdza
 I nóż pociąga na tych heretyków,
 Strzelcy zaś leją kule nie na dzików,
 A Wąsowicze lud zbierają w pułki⁴⁾
 A ciągną ku nim ludzie, jak jaskółki.
 Znacie ich, — rażni, nie lękliwi znoju
 A będą, jako wilk w owczarni, w boju.
 Ha! potańcujeż Szwed! da Bóg! niebawem; —
 Na rzece ze krwi stąd pošlem go spławem;
 Flisacy Wisłą, bo w tem ich ochota;
 Ja ostrzę bardę⁵⁾ — oj, będzie robota
 Dla naszych pięści pewnie za trzy jutra,
 A ujrzym, czy Bóg nie starszy od Lutra!⁶⁾
 Wielce Janusza cieszyły te słowa
 I wnet się dłuższa poczęła rozmowa.
 Babka usiadła, Basia cicho wstała,
 Długo się w obu mówiących patrzyła;

¹⁾ gurmana — wierzchnia suknia z grubego sukna, kapota, sukmana, świta.

²⁾ górale z dóbr królewskich mieli na rękawie u gurmany wyszytą czerwoną koronę (P. A.).

³⁾ tak się nazywał sławny pod te czasy rozbójnik w Tatrach. Przy najściu Szwedów zaprzestał on rabunku po dworach i kmieciach i napał na przeciągające lub furajujące oddziały szwedzkie lub aryańskie zbory (P. A.).

⁴⁾ bracia Wąsowicze, szlachta, sławni męstwem i zaufaniem u ludu. Po wzięciu Krakowa prowadzili na czele górali partyzantkę przeciw Szwedom (P. A.).

⁵⁾ barda, barta — gatunek siekiery szerokiej, topór (niem. *Barte*).

I, znać, na straszną zbierało się burzę,
 Bo z lica Basi zeszyły kraśne róże:
 W oczach, co głębi serca kryć nie zwykły,
 Promienie gasły i pod łzami nikły.
 „Wytniem ich!“ krzyknął Bartek. — Basia zbladła
 I z płaczem drżąca na krzesło usiadła.

Babka, to widząc, pośpieszyła do niej;
 „Co tobie?“ — pyta — „a niechże Bóg bron!
 Chora?“ — Więc obaj zmilkli w jednej chwili
 I zatrwożeni w Basię się wpatrzyli.
 „Mnie nic“ — wtem dziewczę odrzekło powoli —
 „Tylko mnie jakoś dziwnie serce boli,
 I w głowie szumi i w oczach mi ciemno...
 Ja sama nie wiem, co się dzieje ze mną —
 Strasznie mi jakoś teraz na tym świecie“.

„Pieszczotka moja, biedne moje dziecię;
 Złękłaś się!“ — tuląc ją, babka odpowie —
 „Bo też wam, Bartku, zawsze strachy w głowie,
 Odkąd was znam. Ot, ręką ledwie może władać,
 Tak drży; i trzebaż było opowiadać
 To, czego niema, nie było, nie będzie?
 Ale wam pilno, więc krew, wojna wszędzie
 I na języku. Ptaszko, bądź spokojna!
 My, cóż my znaczym? — nas ominie wojna...
 Ej, bo już rzućcie to gadanie zdrożne;
 Święto, — ot, książki czytajcie nabożne“.
 Cieśla stał, zdał się nie słyszeć tej mowy.
 Milczał, w dziewczynę utkwiał wzrok surowy,
 Co biegł aż w duszę; — ona się spłoniła,
 Wsparła się ręką o stół, oczy skryła;

On westchnął, smutek rozlał mu się w twarzy,
Zapalił świecznik, usiadł, siedli starzy,
Wziął księgę, czytał z żywotu kapłanów,
Jak święty Jacek ¹⁾ odpędził poganów.

SAM NA SAM.

Przeszła godzina — starzy się zdrzemali,
Basia siedziała, Bartek czytał dalej —
Lecz coraz ciszej i często się mieszał,
Stawał i wzrok swój na dziewczynie wieszał;
A potem wiersze pomyłone chwycił,
Opuszczał, czasem jedno dwakroć czytał,
A nawet inne wypowiadał słowa.
Czuł to, lecz ogniem płonęła mu głowa,
Serce mu biło gwałtownie; gdy zmylił,
Chciał się poprawić, wzrok ku księdze chylił,
Lecz z księgi biegły nieposłuszne oczy
Do Basi, bo tam był ich świat uroczy.
Toż, widząc, że tych czarów nie odgoni,
Zbliżył się, westchnął i jął szeptać do niej:
„Przeląknę cię? Basiu, nie chciej winić, —
Jeden Bóg tylko wie, co z sercem czynić, —
Jako je w piersi trzymać — gdy rozboli?
Jeśli cię zląknę, dziewczę, — to bez woli
Zgrzeszyło słowo; — dusza o tem nie wie;
Toż oczął, Basiu, nie odwracaj w gniewie,

¹⁾ św. Jacek Odrowąż — wedle podania modlitwą ocalił Kijów od pogromu tatarskiego.

Przebacz!...“ I dłoń swą na sercu położył,
Splonął się, drżące usta w pół otworzył, —
Schylony nad nią, w pierś chwyta jej tchnienie,
Wzrokiem ją chłonie i karmi płomienie
Serca, rosnące w szale i zachwycie,
Jakby nią całe wypełnić chciał życie.

Ale, snąc, mało Basia go słyszała;
Śniła, twarz jeszcze zadumaną miała,
Gdy oczy, w których odblask marzeń kona,
Na Bartłomieja zwróciła zdumiona
I cichym głosem, myśli swych niepewna,
Rzekła: „Cóż chcecie? ja wam nic nie gniewna.“

„Nie?!“ — odparł Bartek i radością skraśniał,
A wzrok, jak słońce wiosenne, mu jaśniał:
„Oj ty dziewczyno! ty gołąbko biała,
Patrzaj — rzekł czule — coś ze mnie zdziałała!
Ja, śmiałek pierwszy, jak nieżywy, stoję,
Kiedy zachmurzysz jasne oczka twoje.
Basiu! ej, kiedyż Basia mi nagrodzi
To, że rok trzeci tak marnie mi schodzi?
Kiedyż wędrówki, czekanie, tęsknotę?...
Basiu! jedyna! — ptaszę moje złote!
Raz ty mi ulży ciężkiej serca spieki;
Życie i pracę oddam ci na wieki!“
I silne ku niej wyciągnął ramiona.
Basia się przed nim cofnęła zląkniona,
Ale Bartłomiej w uczucia natłoku
Nie pojał, zda się, jej chłodnego wzroku
I rzecze: „Cieśla-m, dziewczę, jak mój rodzic,
Lecz niech mi sercem sprostą wojewodzie!“

Nikt, Basiu, jak ja, nie pokocha ciebie:
 Dla mnie tyś jedna, jak jeden Bóg w niebie!
 Przy tobie to już chyba ta garść ziemi,
 Co kiedyś z kośćmi zmiesza się mojemi...
 Pójdź! — Lecz, nim słowo to z ust mu wypadło,
 Dziewczę się znowu cofnęło i zbladło:
 Milcząc, usiadła na krzesło dębowe
 I o dłoń białą, smutną, wsparła głowę.

A on, w nią patrząc, żałośnie wstrząsł głową:
 „Widzę ja, dla mnie zimnaś jednakowo, —
 I miłość moja ciebie nie poruszy...
 O, Basiu! — Basiu moja! — nie masz duszy!“
 Lecz już boleści nie mógł wstrzymać w łonie;
 Zmierzył ją wzrokiem, twarde ścisnął dłonie
 I jęknął: „Kiedyś porwę mą siekiere,
 W pół nią rozplątam moje piersi szczere
 I wydrę serce; a ty patrz do woli,
 Jak ono kocha ciebie, a jak boli,
 Co krwi spalonej z niego już wyciekło,
 I umrę... Basiu! — Basiu! pójdę w piekło!“

I przestał mówić i w głos się rozszlochał,
 I łzami tylko skarżył, że tak kochał.
 Ona zaś z rączki skroń podniosła białą,
 Spojrzała, w oczach miała duszę całą,
 Miała żal szczerej, siostrzanej litości
 I siebie całą, — — jeno nie miłości.
 Lecz wnet się ozwie z litosnym uśmiechem:
 „Ej, Bartłomieju, tak wyrzekać grzechem.
 Cóż wam? to wojny, to znów żony chcecie,
 Od żony znów was na wojnę pomiecie;

I tak bez końca będzie tej swawoli, —
 Ot, zaprzestańcie, bo aż słuchać boli“.
 „Boli?!“ — Bartłomiej pochwycił z zapalem —
 „Ha, pomyśl, dziewczę, czem to ja się stałem!
 Gdzie moja młodość? na tęsknocie znika!
 I już sąsiedzi mają mnie za dzika —
 A to przez ciebie wszystko — och!...“ — i zakrył oczy;
 Uczuł, że widmo znów mu ducha mroczy,
 Wabi go... On raz z bardą stał na skale
 I sosny spuszczał w dunajcowe fale,
 Wtem spojrzął: strach! strach! Z fali jasnołice
 W płasach skoczyły na brzeg topielice ¹⁾.
 W złociste z tęczy przyodziane rąbki,
 Jęły ku niemu latać, jak gołąbki,
 A tak patrzyły, tak nęciły zdradnie:
 „Skocz, skocz do fali, u nas cicho na dzień!“
 A dźwięk ich głosu był tak czuły, tkliwy,
 A on był wtedy, ach! tak nieszczęśliwy,
 Że już pochwycił jednej rękę białą,
 Skłonił się i z nią zawisnął nad skałą...
 Lecz wnet wzburzoną pierś krzyżem przeżegnał,
 Padł i zapłakał i widmo odegnał.
 Teraz to wszystko budzi się w pamięci,
 Upaja, łechce i tam, w góry, nęci.
 Przemógł się; mówić wnet począł spokojnie:
 „Nie dziś, — to, Basiu moja, choć po wojnie.
 Każesz rok czekać? będę, jako żywo
 Choć Bóg wie, z jaką duszą niecierpliwą;

¹⁾ tak lud tatrzański, jako i wschodnich Karpat, wierzy w topielice, duchy wodne, nęcące człowieka na dno rzek lub jezior, leńnice, duchy, wprowadzające w obłęd i t. d. Legendę o Mniehu słyszałem w Tatrach i na Pokuciu. Na Pokuciu zwie on się „Czerneć“ (P. A.).

Chcesz dłużej? niech się wola twoja dzieje;
Jeno mi zostaw, dziewczyno, nadzieję!⁴
Rzekł i do oczu szorstką dłoń przycisnął,
Ale z pod palców strumień łez mu trysnął.

A ona wstała, pobladła, jak chusta,
Drżały jej ręce, drżała pierś i usta,
Łzy w oczach; oczu nie śmie nań podnosić.
Chciałaby tylko przemówić — coś prosić...
Milczała, potem nawpół bezprzytomnie
Rzuciła z jękiem: „Zapomnijcie o mnie!”
I zmilknęła.

A w nim serce bić ustało,
Zachwiało się, zszedł, potem twarz miał białą,
Jak trup, i czuć w nim było ciszę śmierci.
Tak dąb, gdy piorun wewnątrz mu przewierci,
Stoi spokojny, nim o ziemię gruchnie.
Wstrząsł się, śnać poczuł życie, ogień w próchnie;
Zgrzytnął, pierś ścisnął, pijany z rozpaczy,
Wpadł w drzwi i jęknął: „Niech ci Bóg przebaczy!”
I cisza; — dziewczę samotne zostało...
Stoi, na sercu trzyma rączkę białą,
Łzy się jej do oczu cisną mimo woli,
Smutno jej; serce ścisnęło się, boli.
Bartek ją w takiej opuścił rozpaczy...
„Niech Bóg przebaczy!...” „Bartek — czy przebaczy?...”
Spojrzała... starców dwoje w śnie coś marzy;
Uśmiech im lata od twarzy do twarzy.
Złękła się, w piersi czuła dreszcz zimniejszą¹⁾
I cisza w izbie stała się straszniejszą.

¹⁾ dreszcz — pospolicie męskiego rodzaju, o wiele rzadziej, gwarowo, żeńskiego: dreszcz — dreszczy.

Lekko więc, krzesłem stukając, usiada.
Już nawet starców obudziłyby rada,
By jeno zbyć się z izby strasznej ciszy,
Gdzie, oprócz serca swego, nic nie słyszy
I kędy Bartek stoi czarną zmorą,
A lampy u ścian tak posepnie gorą...
Lecz dziadkowie śpią.

Niespokojna wstała;
„Gdybym ja była nigdy go nie znała...
„„Niech Bóg przebaczy!”“ rzekł—„a cóż ja winna?..
Gdyby on wiedział!...” Ale w tem myśl inna
Tknęła ją; bieży do okna i słucha
I usteczkami na biały mróz chucha,
Myśli, pogląda w okno niecierpliwa;
Kogoś, śnać, jeszcze dzisiaj się spodziéwa,
I kędyś w dali jej spojrzenia toną.
Ale tam cicho, noc i gwiazdy płoną.

Smutniejsza, może patrzeniem znużona,
Odeszła, ręce krzyżując u łona,
I szepce, idąc: „Jak on strasznie szlochał!
Mój Boże, po co Bartek mnie pokochał?
Gdybyż to tylko minęło szaleństwo!..
Czemu my sobie z Bartkiem nie rodzeństwo!..
Rośliśmy, prawie chowali się razem,
Pacierz pod jednym mówili obrazem...
Duszębym całą dziś mu wygadała...
Ale on straszny taki!...” I zadrżała: —
Jakiś strach nagle przeszył ją do głębi,
Jak stał, co serce, rozdzierając, ziębi.

Więc się zwróciła i z różańcem w rękę
 Świętej się Pannie ukorzyła w lęku.
 Modląc się, w Świętą wzrok zatapia cały
 A z ócz jej patrzy dusza, gołąb biały.

Tak anioł, kiedy pióry srebrzystemi
 Zleci z błękitu i dotknie się ziemi,
 Stawa i chwilę ogląda, zdziwiony,
 Świat, co dla niego mgłami otulony; —
 Głębiej się potem zanurzywszy w cienie,
 Uczuje przestrach i wraca w promienie.

PRZY STUDNI.

Od modłów wstała uśmiechnięta, jasna,
 Spokojna w duszy i rumieńcem krasna.
 Różaniec jeszcze trzyma w białej dłoni,
 A uczuć pełna, jako lilia woni,
 I tak usiadła cicha i świat Boży
 Myślą ubiera w blaski jasnej zorzy.

Ale po chwili do okna pobiegła,
 Podgląda: w cieniu, znać, kogoś postrzegła,
 Przeczekała raczej, i cała sploniona,
 Stojąc, rąk dwoje cisnęła do łona;
 „On!“ ... rzekła z cicha... a tam, z ciemnej dali,
 Już słyhać było kroki i szcęk stali.
 „On!“ i zmieszana waha się, czy czekać,
 Czy wyjść naprzeciw, czy z wstydu uciekać.
 Ku drzwiom co chwila zwraca jasne oczy,
 Serce jej z piersi ledwie nie wyskoczy.

„Co zrobić?“ — myśli — „on może tu wstąpi...
 Może nie wstąpi! — ach, on tak się skąpi!
 Zdybać go trudno; — rano mi się skłonił,
 Potem nie przyszedł, tak jakby mię stronił...
 Niedobry! — tylem o nim dziś myślała...“
 Tak myśląc, śpiesznie kubraczek zawdzięła
 I poskoczyła ku drzwiom; lecz znów stoi
 I myśli: „Może obudzą się moi?
 I on sam może pomyśli, żem płocha!...
 Nie — ach, on nie wie, jak Basia go kocha!...
 Oj, biedna ja! oj, zginie serce marnie,
 Jeśli kochaniem on go nie ogarnie!...“
 Marzy, łez dwoje spadło na jagody,
 I wzięła dzbanek... „Tak, przyniosę wody“.

Wybiegła, patrzy: noc cicha, bez chmury,
 Księżyc i gwiazdy, dalej śnieżne góry,
 Kościoły, których krzyże w niebo wrosły,
 Rynek, za rynkiem Sącza gród wyniosły
 Groźnie powiewa chorągwiemi z wieży.
 Miasto w śnie, jak ul, gdy rój go odbieży;
 Po basztach tylko migocą się blachy,
 Gdzie w zbrojach szwedzkie stanęły szyldwachy,
 I światła w oknach.

Już przy studni stoi,
 Widzi go, jednak sroma się i boi,
 By jej Lichtenaw tak nie zastał w mieście,
 I skryć za studnię już chciała się wreście¹⁾.
 Lecz właśnie z góry jasny blask księżycy
 Stoczył się na jej uśmiechnięte lica

¹⁾ wreście — wreszcie (gwarowe).

I Oskarowi w cieniu ją odsłonił;
Ten stanął, wpatrzył się — potem się skłonił...
I piękni, z duszą odbitą w spojrzaniach,
Stali tak w złotych księżycy promieniach.

Ale wnet Oskar pochwycił jej rękę
I rzekł: „Bóg z wami! Przepraszam panienkę.
Waszych ócz jasnych nie miałem z zarania
Dzień cały... sercu za wiele czekania!“
Lecz nagle tkliwość z jego ócz uciekła,
Twarz uśmiechniętą zgroza mu oblekła;
Pochylił czoło, do siebie rzekł smutnie:
„Za tajemnicę Sztajn głowę mi utnie,
Jeśli tem zniszcze jego czyn piekielny.
Krew... o, mój Boże!... ha! i Sztajn śmiertelny!...“
I lewą ścisnął srebrną miecza głównię,
Prawą zaś Basi dłoń ujął gwałtownie
I tak na dziewczę poglądał ponuro,
Czoło mu taką zasulo się chmurą,
Że się wyrazu tych ócz Basia zlekła
I, patrząc, ledwie z przestachu nie jękła.
On ją oczyma nieustannie mierzył,
Szepcząc: „A mozem ja pozorom wierzył? —
Przekleństwo! Ona musi wszystko wiedzieć.
Zdradzę? nie! pierwszej musi mi powiedzieć,
Czy kocha... choć nie, to ją wyrwać muszę,
Choćby mi przyszło zgubić własną duszę...
O, Basiu — jęknął, poglądając łzawo —
Ty nie wiesz, dziewczę, jak mi w duszy krwawo,
Ty nie wiesz, jakich okrutnych mam panów;
Lecz ja cię wyrwę z ręki tych szatanów!“
„Cóż to jest?“ — Basia trwożnie zapytała —
„Tak smutnym nigdy pana nie widziała...“

On stał, poglądał, wahał się i myślił,
I niespokojny mieczem w śniegu kręślił; —
Krom uczuć jeszcze chciał rzecz wielkiej wagi
Wyznać — i nie miał ni słów, ni odwagi...
Lecz: „Dość! — zawoła — Basiu! życie moje!
Dość, w twoich oczach płonie serce twoje!...
Ty kochasz?... Oczek nie kryj rączką białą!
Bo w nich tę miłość niebo napisało
Dla mnie; — o Basiu, o nich ja słyszałem
Pierwej, niż ciebie, niż te oczy znałem —
Chłopiędziem jeszcze. — Biegłem ku jezioru
Raz w letni ranek, wtem nadeszła z boru
Wróżka, znajoma u nas dookoła,
Że znała leki i zbierała zioła.
Jam stał, a ona wpatrzyła się we mnie,
Jakby mą duszę chciała dobyć ze mnie,
I rzekła:... „Dziewczę serce ci rozpali...
Krwi będą ludzie od ciebie żądali —
Ty chwycisz serce. — Taka twoja droga,
A każda droga wytknięta od Boga.““
Dziś, Basiu moja, rozumiem tę wróżbę;
Ta dłoń, nie serce, u króla ma służbę. —
Sztajn krwi chce waszej, więc się dłoni zbęde,
Utnę, a w waszej krwi kalać nie będę
I wyratuję cię stąd, choć bez dłoni,
Z krwi i płomieni!“

„A niech Bóg was broni! —
Krzyknęła Basia — mówcież, co się stało!“
I miecz mu rączką zasłoniła białą.

„Przebac! — rzekł Oskar rzewnie — przebac, miła!
Basia mię kocha?!“ Ona się splonila

I milczy, ale, słowem jego rada,
 Oczkami stokroć „kocham“ odpowiada.
 On dłoń jej chwycił i ścisnął gwałtownie:
 „O, ja cię, Basiu, kocham niewymownie!
 Tyś moja; cóż król? jam, jak król, bogaty,
 I możny, jako król mój, a te szaty,
 I barwy, choć są służalca znamieniem,
 Wiem, droga, żem je tem wdziewał ramieniem
 I tem ramieniem znów je zedrzyć mogę.
 Milczysz? — Dla ciebie, dziewczę moje drogie,
 Wszystko! — Ty dla mnie nie masz ani słowa?“

Basia to spłonie, to oczęta chowa
 W cieniu rzes; dłoń mu ścisnęła nieznacznie
 I pochyliła twarz i mówić zaczyna
 Zmieszana: „Wiecie! ja dziadków mam dwoje,
 Im Bóg poruczył przeznaczenie moje:
 Jeśli na naszą zechcecie przejść wiarę,
 Pobłogosławią was ich dłonie stare
 I dadzą wam mnie; przyslijcie więc w swaty
 Kogoś do dziadków, do naszej tam chaty!
 A gdy zastawią biały chleb i wino,
 Gdy się dziadkowie ucieszą nowiną...
 Gdy każą, powiem; inaczej rzecz zdrożna —
 I nie odpowie dziewczę ni wielmożna“.

Lecz Oskar przerwał: „Basiu, nie czas zwlekać,
 Bóg tam wie, komu jutra się doczekać;
 Dziś nasze — żyjmyż! — Ja dziś muszę wiedzieć!
 Zginiem, gdy dziś mi nie zechcesz powiedzieć.
 Jntro, pojutrze o takiej godzinie
 Może się tylko dym tędy rozwinie...“

Basiu! I drżącą pochwycił w ramiona
 I z namiętnością przycisnął do łona,
 Tulił, a Basia już mu się nie broni:
 Uściskiem uścisk odpowiada dłoni
 I rumieńcami pocałunek płaci...
 Księżyc promieniem cienie ich postaci
 Skreślił na śniegu, jakby chciał zostawić
 Ślad szczęścia, które nie umie tu bawić.

W uściskach stali oboje, a w mroku
 Stał Bartek, widział ich i grom miał w oku.
 Zgrzytnął i nagle w drzwi domu się rzucił.
 Wnet wyszedł, lecz już z gwintówką¹⁾ powrócił,
 Patrzył i raz się obejrzał wokoło;
 Wzniósł broń i zmierzył Oskarowi w czoło.
 Lecz odjął, szepcząc: „W szyję palnąć wolę,
 Bo hełm stalowy siedzi mu na czole!“
 Wymierzył, lecz znów zadrżała mu ręka...
 „Przeklęty Luter! — ha! mnie serce pęka,
 On szczęśliw — a ja! — ja pierś mu przebiję...
 Ona rękami objęła mu szyję,
 W szyję nie mogę wypalić!“ — Broń trzyma,
 Piersi Oskara przeszywa oczyma,
 I śmierć tam widzi pierwej, niż dłoń mściwa
 Strzał posła. Wściekłość duszę mu porywa...
 Wymierzył, lecz znów odjął i spozierał,
 I znów to serce, to głowę wybierał —
 Wszystkiego jednak było mu za mało:
 On radby zniszczyć jego postać całą,

¹⁾ gwintówka — strzelba gwintowana, t. j. mająca w lufie linię wężykową.

W pył rozbić; i znów rusznicę przyłożył.
Lecz wtem czeladnik jego drzwi otworzył
I, ledwie Bartka mierzącego zoczył,
Zgrozą przejęty ku niemu poskoczył,
Broń wyrwał. — „Cóż wam? a macież wy Boga
W sercu? — Co, majstrze, przez jednego wroga
Chcecie nas wszystkich pograć w nieszczęście?“
A Bartek na to: „Ty! — silne masz pięście,
Jak niedźwiedz — tylko, ha! krwi w tobie braknie,
A moja dusza krwi, oj, krwi tak łaknie!
Daj broń, ja krwi chcę!“

„Będzie ona, będzie! —

Odrzekł czeladnik — niechno po kolędzie —
Wytniem...“

Bartkowi ogień w oczach błysnął;
Cofnął się, rękę do czoła przycisnął,
Myślał i lico miał już spokojniejsze,
Choć myśli były krwawsze i straszniejsze:
„Ich wszystkich! — rzecze — choć pomiędzy ludzi!
Kogo nie zbudzę ja, to Bóg przebudzi —
Wszystkich do trzech dni — ha! do tej roboty
Nie braknie u nas nikomu ochoty“.
— „To chodźmyż, majstrze! w Janusza gospodzie
I młódź, i cechy zastaniem przy miodzie“.

Odeszli. — Ci zaś ani śnili o tem,
Jakim ich Bartek przywitać chciał grzotem.
Oddani sobie, stoją śród rozmowy.
Przerywanemi Oskar mówił słowy...
I znać, że miłość mieszał z tajemnicą,
Bo u niej bladło, to kraśniało lico;

Składała ręce, czasem przerażona
Drgnęła, i jęk się wydierał z jej łona;
Ale z czułością wtedy Oskar śpieszył,
Wiesć zrywał krwawą i przelektą cieszył,
I opowiadał — i tak zbył się wieści...
Mówi już czulej i gołąbkę pieści,
A tak miłością, znać, olśnił ją całą,
Że tylko dla niej Basi duszy stało,
Że, tym dniem pierwszym szczęścia wniebowzięta,
Jak anioł, stoi, topiąc w nim oczęta,
Pełne promieni... Myśli w niej nim wstana,
Czuje, jak kocha i jak jest kochaną.

G O S P O D A .

W domu Janusza, w obszernej gospodzie,
Mieszczkańskie koło zasiadło przy miodzie.
Wprost drzwi Marcowicz, burmistrz, sądu głowa,
Siadł, jako pierwsza *dignitas*¹⁾ miejscowa.
Przy nim po prawej rajcy²⁾, po lewicy
Kupcy, cechowi starsi i ławnicy³⁾,
Patrycyat miejski⁴⁾. — Dalej stół dębowy,
Który w krąg izby szedł kształtem podkowy.

¹⁾ *dignitas* (łac.) — dostojność, dostojnik.

²⁾ Rajcy, pod przewodnictwem burmistrza, zarządzali sprawami miasta.

³⁾ Ławnicy zasiadali w magistracie; obowiązkiem ich było sędzić sprawy między mieszczanami; przewodniczył im wójt.

⁴⁾ patrycyat — tak z rzymska nazywali się w dawnej Polsce członkowie zamożnych rodzin mieszczkańskich w przeciwstawieniu do plebejusów, t. j. ubogiego ludu.

Obsiedli mistrze różnego rzemiosła,
 Każdy tam, kędy ochota go nosła,
 A młódź po izbie rozpierzchła się całej.
 Troje lamp światłem błyska u powały
 Z za bań czerwonych i stroi w purpurę
 Ściany i gości oblicza ponure.
 U drzwi zaś szynkfas ¹⁾.

Lepsze dnie i święta

Gospodnia izba Janusza pamięta!
 Dziesiąte ledwie w aktach zapisano,
 Co tu zapito, wygrano, przegrano.
 Każdy ką, stoły, szklanki, szynkfas, ławy
 Znały dokładnie wszystkie miejskie sprawy.
 Ależ gospoda wielce bo już dawna,
 Czysta i samym gospodarzem sławna.
 Więc rad mieszczanin sandecki wyrusza
 Nawiedzić izbę siwego Janusza,
 Bo to bywalec, co znał wszystkie strony
 Mazowska, Rusi, Litwy i Korony;
 A przytem w radzie nie pośledni głową,
 Czy zgodzić spornych, czy dać za kim słowo.
 Gdy stary począł, cichnął gwar okrzyków,
 I obierano rajców i ławników;
 Stąd też najbliżej było do ratusza,
 Gdzie był sąd, akta, słowem, miasta dusza.
 Dziś tam strażnica.

Brakło dziś Janusza.

U niejednego zakrwawiona dusza
 Smutkiem lub gniewem; młódź piosnek nie śpiewa,
 Szynkarka tylko biega i nalewa;

¹⁾ Szynkfas, szynkwias — miejsce (stół) w szynkowni lub karczmie, gdzie sprzedają trunki.

Mieszczanie piją, między sobą gwarzą
 I klną Lutrowi i na biedę skarżą,
 Jak na kość w gardle.

Za osobnym stołem

Siedział Bartłomiej z czeladnikiem społem.
 Pili miód; czasem, pochyliwszy głowy,
 Szeptali słowa, zarwane z rozmowy,
 I milkli, baczną dając pogadance, —
 A obaj byli już przy drugiej szklance.
 Ale Bartkowi, zda się, lat przybyło.
 Poblądł, dwa zmarszczki w czoło mu się wryło,
 Zmęźniał, spowaźniał wielce. Przed godziną
 Widział się z dzielną czeladników gminą,
 Potem u młodszych majstrów chwilę bawił:
 Miał wieści, kilku swych po wsiach wyprawił,
 I wyspokojniał... Ale widać było,
 Że mu czasami strasznie serce biło
 I myśl mu duszą miotała gorąca,
 Jasna, jak piorun, jak piorun, niszcząca.
 A wzrok miał hardy, ostry, czasem smętny;
 Czasem mu oczy rozlitł żar namiętny,
 Wtedy brał szklankę, pił, jakby chciał zapić
 Ból, co mu serca nie przestawał trapić.
 Pił; a gwar w izbie rośnie, Bartek słucha:
 Skargi! — balsamem to dla jego ucha;
 Pije — lecz ognia nie zdradza w postaci,
 A widać, że miał cześć u młodszej braci,
 Bo szli go witać, ten szklanką, ten słowy;
 Ale on baczył na starszych rozmowy.

A właśnie począł Cyrus, ochmistrz szewski:
 „Przepadnie, bracia, nasz Sącz, gród królewski!

Bóg wie, czy tydzień podolamy nędzy! —
 Znikąd zarobku, a tu daj pieniędzy
 I kwaterunek ¹⁾ i żyw jeszcze biesa!
 Nie wiem, jak u was, ale moja kiesa
 Już próżna... czart bierz! wnet porzucę miasto
 I w Tatry z moją ucieknę niewiastą.
 Światłowicz, kramarz, odrzekł: „Ja tak samo!
 Odkąd ich dyabeł przyniósł Młyńską bramą,
 Szeląga jeszcze nie wziąłem za towar“.

„Mnie sól zabrali i wypili browar!“
 Rzekł Gil.

Gadowicz, co młyn miał i żarno,
 Rzekł: „Mnie zabrali i mąkę, i ziarno,
 Lecz, da Bóg, kiedyś ja tych Lutrów kości
 Przez moje pytle ²⁾ puszczyć bez litości“.
 „U mnie — ozwał się Oleksowicz z rynku —
 Pięć postaw ³⁾ sukna wzięli w upominku
 I falendyszu ⁴⁾ dwa; za mój dobytek
 Dali mi wczoraj w zamku jakiś kwitek,
 A Florek jeszcze ze mnie naigrawał,
 Niepomny, żem ja ojcu na borg ⁵⁾ dawał“.

Szafarz Borycki odezwał się z cicha:
 „Gdybyż choć Forgwel był został, pół licha!

¹⁾ kwaterunek — obowiązek trzymania żołnierzy na kwaterze,
 (t. j. dawania im mieszkania) lub płacenia kwaterunkowego. t. j. odpowiedniego podatku.

²⁾ pytel — rodzaj sita w młynie dla oddzielania mąki od otrąb.

³⁾ postaw — zwitek, sztuka (sukna, płótna) i t. p.

⁴⁾ falendysz — cienkie sukno holenderskie lub angielskie.

⁵⁾ na borg — na kredyt.

Szwed, jednak ludzki; a Sztajn — to syn smoczy!
 Ot, znów mi kazał wydierać wam oczy;
 Tak, dać musicie, co kto ma gotówki.
 Dać, — lub gwałt będzie, żadnej tu wymówki.
 A jeśli Szwedom kwota nie doważy,
 Srebro i złoto zabiorą z ołtarzy“.
 Gdy skończył, wszyscy zamilkli dokoła,
 Zgroza sędziwe pomarszczyła czoła;
 Młódź, co po izbie rozpierzchnięta stała,
 Na Bartłomieja spojrzenia zwracała.
 Ten milczał, ale wszystkich mierzył wzrokiem.
 Czasem brwi ścigał na czole szerokiem;
 W oczach mu iskry tliły tajemnicze,
 Uśmiech mu zgasił wracał na oblicze;
 Patrzy w nich; patrząc, zda mu się, że słyszy
 Tętna ich serc. Tak przeszła chwila ciszy.

Ale Marcowicz, burmistrz, człek poważny,
 Wstał, bo, choć sercem wielce był odważny
 I akta nawet raz podarł sędziemu,
 Kiedy w nie wyrok wpisał przeciw niemu —
 Musiał tu jednak tę rzecz mieć na względzie,
 Iż niebezpiecznie na jego urzędzie
 Słuchać spraw takich i rozmowy toku,
 Zwłaszcza gdy Sztajn go ciągle ma na oku
 I radby pewnie zrzucić go za karę,
 By na ten urząd posadzić niezdare;
 Więc *cauta mente* ¹⁾, lękając się gromu,
 Pożegnał braci i poszedł do domu.

Miejsce to zajął Bogdajłowicz stary,
 Prarajca ²⁾, bogacz, mąż gorącej wiary,

¹⁾ *cauta mente* — ostrożnie (łac.).

²⁾ t. j. najstarszy z rajców.

I rzekł, siadając: „Nędza nie ustanie!...
 Szwed Luter, na nas judzą go aryanie,
 Szlichting i Florek, obaj z biesem w spółce,
 Infamy! ¹⁾ — niegdyś już, już na szypulce ²⁾, —
 Kryli się jeno po dyabelskich norach;
 Dzisiaj w ogromnych u Sztajna faworach ³⁾,
 Jak kruki, wciąż mu krakają nad głową:
 „Drzyj mieszczan! ten ma to — a tamten owo!“
 A Wielogłowski, co u Gadowicza
 Mieszka, ten także pyska im użyzka
 I, znać, nie lekce Sztajn go sobie waży,
 Kiedy broń miejską oddał jego straży.
 Znam ja ich! — Co dnia widzę, jak z Dąbrowej
 Przyjeżdża Schlichting do bramy zamkowej.
 Otóż, sławetna braci, moja rada:
 Trzeba nam zbyć się tych dwu i sąsiada.
 Gdyby ktoś... gdyby w ziemię wgryźli zęby...
 Lutra usłużnej pozbawimy gęby“.
 Rzekł i rękami wskazał ku podłozie
 I siadł na stołku, zagniewany srodze.

„Tak!“ — krzykną wszyscy — „wszystkim to rzecz
 [znana!“

Cyrus zaś dodał: „Tak, był dzisiaj zrana!“ —
 „I czart wie, co on Sztajnowi poradził —
 Rzekł Bogdajłowicz — bo Szwed zaprowadził
 Podwójne straże u baszt i ratusza“.
 Stach Krawczyk krzyknął: „Patrz! niewierna dusza,

¹⁾ infam, infamis — człowiek bez czci, bezecnik, niegodziwiec.

²⁾ szypulka — łożyczka kwiatowa; na szypulce (dom. wisiało) = wisiało na włosku, t. j. o mało co nie przyszło do rozprawy z nimi.

³⁾ fawor — łaska (łac. *favor*).

Patrz! ale myśl mi przychodzi wesola...“
 Rzekł ciszej, patrząc z uśmiechem dokoła:
 „Chłopcy, ja gotów — dwu albo trzech jeszcze,
 A tak się z tymi aryany popieszczę,
 Że Sztajn im będzie musiał *requiem* ¹⁾ sprawić...
 No, cóż? gdy zgoda — toby nam nie bawić,
 Lecz do Dąbrowej ²⁾...“

„Oto człek bez strachu —
 Rzekł Bogdajłowicz — dzielniście mi, Stachu!
 Chwat organista!“... Tak Krawczyk był zwany
 Przeto, iż celnie podpalał organy ³⁾,
 Te zaś w strzelnicach wisiały na pasach
 Dla gęstych strzałów w szturmowych zapasach
 U baszt.

Stanisław wielce się napuszzył
 Ale z młodzieży nikt się ani ruszył;
 Czekali, co im Bartek na to powie.
 Lecz on, znać, wtedy inną myśl miał w głowie:
 Zmarszczył brwi, o dłoń oparł się niedbale,
 Dumal i wzrokiem błdził po powale.

¹⁾ *Requiem* (aeternam dona ei, Domine i t. d.) — odpoczynek (wieczny daj mu, Panie); początek pieśni pogrzebowej. Sprawić komu *requiem* = zrobić z nim koniec.

²⁾ Miast, osad, wsi tego miana jest na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej bardzo wiele. Tu zapewne mowa o wsi tego miana, o milę od Nowego Sącza, nad Dunajcem.

³⁾ Organy, organki były bronią do strzelania z murów. Kilka lub kilkanaście luf żelaznych wisiało na pasach, za pomocą których nadawano im kierunek. Podpalone razem, sprawiały w szeregach szkodę, jak ogień kartaczowy (P. A.)

Stanisław był tem urażon widocznie,
Więc wstał: „Cóż, chłopcy — znów do młodych po-
[cznie —

Ze mną nikt? A cóż Bartłomiej tak milczy
I wzrok ma dzisiaj taki jakoś wilczy?
Bartku, co w górze szukasz tam oczyma?“

Bartek wstał: „Duszy, krwi—bo w was jej niema!
Że też wy zawsze jedni i ci sami!
Gdy bieda, przyczyn szukacie za drzwiami,
A ani przez myśl nie przeszło nikomu,
Że tu przyczyna, w mieście, w własnym domu.
Szlichting i tamci? — tfu! — trzy zębki żmii,
Która łbów tysiąc ma u głodnej szyi,
A cała tak się rozległa w tym grodzie,
Że nas i bez nich z żywota wybodzie.
A gdybyśmy też, jakeśmy tu razem,
Podali sobie dłoń, potem żelazem
Jutro w noc szwedzką sprawili załogę,
Lecz tak, by z miasta nie puścić i nogę? ¹⁾
Cóż, ojce? bracia! — pomyślcie no szczerze!
Ja — jako w Boga, w dobry koniec wierzę.
Wszak oni ludzie! a choćby szatany,
To dyabeł straszny tylko malowany,
Lecz, gdy ma serce w piersi, a krew w żyłach,
I w stu pancerzach równy mi na siłach.
Spójrzcie-no! — z młodych każdy już gotowy
Pójść i rznąć. Ojce! skńcie jeno głowy
Na znak, że zgoda i po waszej woli,
A w trzy dni koniec Lutrom i niewoli“.

¹⁾ pow. b. nogi.

Stał, w krąg oczyma ognistemi wodził,
Czuł, że tu wszystkich w samą pierś ugodził.
Piorun słów jego padł tak niespodzianie,
Że osłupieli z podziwu mieszczanie
I, między chęcią, nadzieją i trwogą
Chwiejni, nic jeszcze orzekać nie mogą.
Więc milcząc, wszyscy topią się w zadumie,
Coby rzec na to. — W młodzieży zaś tłumie
Był szmer... tak w borach naszych szemrzą drzewa,
Gdy się na burzę niebo przyodziewa
W chmury, a ponad sine gór załomy
Skrawo dalekie wybłyskują gromy.

Lecz wtem Suszycki: „Jezus! on oszalał!“
A Krawczyk gniewny: „Nie, on pałkę zalał
Miodem i miód go owiał taką jęzdą...“
A ten im odparł: „Pijany-m — lecz nędzą
Hańbą, niedołą, wszystkim, co tak boli,
Że człowiek raczej zginać, niż żyć woli“.

I huczne wstały krzyki i poswarki,
I możeby się chwycono za barki,
Bo młódź, przejęta Bartłomieja sprawą,
Groźna pięściami, stanęła przed ławą,
Ale Szydłowski, patron kolegiaty,
Wstał i zawołał: „*Silentium* ¹⁾, waryaty!
Wściekli, z rozumu obrani do nitki!
Tfu! Krawczyk stary, a pierwszy do bitki —
Wstyd! — Wszyscy go też chętnie usłuchali,
Więc pan Szydłowski sprawę ciągnął dalej

¹⁾ *Silentium* — cisza, milczenie (łac.).

I rzecze: „Stachu, siadź, daj pokój zwadzie,
 Każdemu wolno podnieść głos w poradzie:
 Młody on, ale, widzisz, pierś ma zacną,
 Pierś, jakiej w świecie nie nadybiesz łącno.
 A ty znasz, Bartku, koniec twojej chęci!
 Oj! staniesz ludziom w przeklętej pamięci
 Za myśl, co w sercu gorącym się rodzi,
 Że Sącz od Szweda sam się oswobodzi.
 Młodzieście, cześni¹⁾, lecz niesforne głowy,
 Każdy z was lecieć na oslep gotowy;
 Cóż z tego? garstka, zginiecie, jak muchy, —
 Za to nas potem Szwed rozbije w puchy,
 Wyrznie i miasto zatopi w płomieniu,
 Że nie zostanie kamień na kamieniu.
 Baczenie wy, jaki koniec tu być może:
 Gród i kościoły w popiół — a nam noże!
 Jam stary i żyć jeszcze mi niewiele,
 Śmierć mi nie straszna, lecz mam duszę w ciele
 I lękałbym się stać przyczyną jatek,
 Sieroctwa dzieci, płaczu żon i matek;
 Potem ich klątwą obciążon, jak trądem,
 Nie śmiałbym stanąć tam — przed Bożym sądem“.

Na to Suszycki Jędrzej, pisarz miasta,
 Referent²⁾, skrybów³⁾ wzór i protoplasta⁴⁾,
 Rad, że nakoniec do słowa przyjść może,
 Rzekł: „Tu rzecz miejska — w niebie sądy Boże.

¹⁾ czesny — uczciwy, zacny, cny.

²⁾ referent — tytuł urzędnika, który zajmuje się referowaniem,
 czyli odrabianiem bieżących spraw.

³⁾ skryba — pisarz (łac. *scriba*).

⁴⁾ protoplasta — przodek, tutaj: wzór.

Otóż, gdy taki obrót wzięła rada,
 To ja do zdania mojego sąsiada,
 Minąwszy już grzech, który gubi duszę,
 To jeszcze dodać z konieczności muszę,
 Że od wojaczki wolni są mieszczenie, —
 Tak w konstytucjach¹⁾ powiada pisanie.
 Znam Saxon²⁾, bracia, rzeczeć mi, gdzie stoi:
 „Za sprawę kraju niech się mieszczen zbroi...“³⁾
 Szlachcie należy wojowania sława;
 Za to ma większe przywileje, prawa
 I rząd. Toż, gdy jej niepilno do boju,
 Nam naszych rzeczy doglądać w pokoju,
 Jak przykazuje konstytucya nasza —
 Zresztą mieszczenin nie jest do pałasza“.

Lecz Bartek przerwał: „Zostaw waść to pole!
 Wy znacie prawo, a ja znam niedole;
 U różnych majstrów braliśmy nauki:
 Mnie łzy uczyły, was — ławnicze sztuki.
 Toż nieuczciwie sztucznych słów przechera³⁾
 W sumieniach braci gmatwać prawdę szczerą:
 Mędrkuj ty sobie w sądach i na ławie,
 Tu milcz, bo krzywdy tych nie pisano w prawiel
 To zaś, co grzechem wy mienicie u mnie,
 Szydłowski, z tem ja śmiało legnę w trumnie,
 Bo wiem, że za ten grzech Święta Królowa
 Najlepsze miejsce u Boga mi chowa“.

¹⁾ konstytucya — ustawa, reguła, prawo, przepis; tutaj — ustawa
 miejska.

²⁾ *Speculum Saxonum* albo prawo saskie i magdeburskie. Prawem
 tem rządziły się prawie wszystkie miasta polskie (P. A.).

³⁾ przechera — tu: szalbierstwo, obłudność, chytryść.

„Hejże na Lutra! Hejże na zalogę!“
 Śród młodzi głosy podniosły się mnogie.
 Ale wtem dzwonnik Nikburowicz wpada
 I grabarz Trela. Dzwonnik wrzasnął: „Biada!
 Szwedzi rabują kościół Małgorzaty! ¹⁾
 Gdzie jest Szydłowski, patron kolegiaty?“

„Jakto? — śmieliby?“ — Szydłowski zawoła.
 A dzwonnik rzecze: „Wpadli do kościoła
 Z Florkiem; dwóch starszych przywiodło tę rotę,
 I nuż poczynać dyabelską robotę.
 Najpierw świętego Jakóba kaplicę
 Przetrzęśli. Florek z ołtarza zdjął świece
 I wszedł w grób (który Trela mu otworzył),
 Mówiąc, że tu ksiądz kustosz ²⁾ skarby złożył
 Pani Stannowej i podstarościego ³⁾.
 Skarbów nie było. Szli więc do drugiego...
 Ten Florek, bogdaj zdechł ten szatan dumny!
 Kopał nogami naszych ojców trumny,
 A z sarkofagu księdza Fuzoryusza ⁴⁾

¹⁾ kolegiata św. Małgorzaty w Nowym Sączu należała do tych świątyń, ku którym się szczególnie zwracała hojność zamożnych mieszczan i szlachty (P. A.).

²⁾ kustosz — zawiadowca, strażnik; kustosz kapituły lub kolegiaty — prałat przy katedrze biskupiej (łac. *custos*).

³⁾ wdowa po Hieronimie Stanno, staroście sądeckim i chorążym sanockim, który poległ w potrzebie pod Zbarażem. Aryańska szlachta miała do niej szczególną nienawiść za to, że udało się jej przykładem pobożności nawrócić kilku arianów do katolicyzmu. Córka jej po śmierci ojca i śród niedoli ojczyzny poszła do klasztoru. Podstarościm sądeckim był Boczkowski, równie nienawidzony od arianów za gorliwość w nawracaniu (P. A.).

⁴⁾ ksiądz Fuzoryusz, poprzedni kustosz kolegiaty, był szczególnym jej dobroczyńcą i gorliwym apostołem katolicyzmu między arianstwem tej okolicy. Po nim został kustoszem ksiądz Cielątkowski. Ten miał czynny udział w powstaniu sądeckim (P. A.).

Zdarł epitafia ¹⁾, łotr, — piekielna dusza!
 A co nas jeszcze nażył, naprzeklinał!...
 Jam go upomniał, — ksiądz go upominał —
 Aż jeden z starszych gniewem się rozpałił
 I za kark Florka z kościoła wydalil“.

„O! Jezus, Marya i Pańscy anieli! —
 Krzyknął Szydłowski — i to przy niedzieli!
 Ha! iście już Bóg Swego gniewu skąpił,
 Gdy pod tym łotrem grób się nie rozstałil“.

„Tak! — odparł Bartek — tak, mości patronie!
 O miasto wam lęk, że pożarem spłonie?
 O kościół Pański strach wam, że zaginie?!
 Jeszcze nic, — Szwed go znieważył już ninie ²⁾,
 A co? nie wyróżnać? — Stójcie! krótkie słowo;
 Nie idźcież, jeszcze mam ja piosnkę nową!
 Jużesmy zbici, zdarci i żebracy,
 Nic nam z modlitwy, nic nam z naszej pracy,
 Jeszcze nam żoldak zbestwiony i srogi
 Pohańbi wkrótce zacne domów progi,
 Cześć żon i córek pod swe nogi rzuci!
 Miasto zostanie.. kto wam cześć powróci?!“
 Umilkł i usta wykrzywił do śmiechu,
 Resztę słów w krótkim pochłonał oddechu.
 Ale wtem stary Szydłowski zawoła:
 „Trela, — hej! dzwonnik, chodźmy do kościoła!“

¹⁾ epitafium, epitaf — napis na grobie, nagrobek; kamień grobowy (grec. — *epitafion*).

²⁾ ninie — teraz (starop.).

„Co tam pomożesz?“ — Bartek mu odrzecz —
 „Czy psem u proga legniesz tam, człowiecze,
 By warczyć i gryźć, gdy się wróg przybliży?
 Zostań! Szwed Pańskich nie lękał się krzyży,
 Kopnie cię nogą, jak psa, bez litości!...
 Ha! Szwed u ciebie na wilię zagości,
 W oczy ci zadrwi, gdy świętym opłatkiem
 Będiesz mu szczęścia życzył z przeszłym latkiem...
 O! święta Panno z aniołami Twymi,
 O! Kingo, święta patronko tej ziemi,
 Rzecście wy starcom, co nożami straszą,
 Że chcecie boju — bo ta ziemia waszą!“

Pośród tej wrzawy wszedł niepostrzeżony
 Jacek, staruszek biały i skulony.
 Słyszając to, u drzwi stał o laskę wsparty
 I w Bartłomieja utkwiał wzrok otwarty,
 Jasny, — a gdy ten ostatnie rzekł słowo,
 Zawołał Jacek: „W bój z Świętą Królową!...
 O dzieci, wielkie oglądałem cuda,
 Toć wierzę, że dziś wszystko nam się uda!“

„Przebóg! to Jacek!“ wszyscy zawołali,
 „Wy tu?! My prawie już was oplakali.“ —
 „Tu, dziatwo, z wami, — jak widzicie, zdrowy“.
 I dodał potem: „Wracam z Częstochowy!...
 Idźcież, Szydłowski, gdy was kościół woła,
 A wy zaś chmurne rozpogodźcie czoła,
 Jak ja“. — A gdy go obścili swoi,
 Zawołał Jacek: „Częstochowa stoi!“
 Poszedł Szydłowski, ci Jacka prowadzą
 I na burmistrza miejscu za stół sadzą.

Jacek, tu niegdyś kupiec najcelniejszy,
 Był już najstarszym i włos miał najbielszy
 I cześć za prawość. Teraz, — to cud nowy! —
 Przez szwedzki obóz przyszedł z Częstochowy.
 I cisza — ale Jacek wstał za chwilę
 I, uściskawszy Bartłomieja mile,
 Rzecz mu: — „Synu, niech ci Bóg pomaga!
 Słyszałem, piękna w twem sercu odwaga!...
 Mnie trzeci tydzień od mego wychodu,
 Wiele zznałem i głodu, i chłodu,
 Bo kraj nasz pusty, jakby cmentarz wielki,
 Tak w nim poniszczył Szwed dobytek wszelki.
 Co miast i włości pustką w gruzach leży,
 Kto nie oglądał sam — to nie uwierzy!
 Bóg chciał, bezpieczne porzuciłem mury.
 Szedłem przez obóz i przez Lutrów chmury;
 Jestem tu. — Wieczór działa grzmieć przestały,
 Zgliszczą się jeszcze z Częstochówki¹⁾ tłały,
 Noc przeszła w modłach, a nazajutrz rano
 Od Kordeckiego poddania żądano.
 O, nie zapomnę nigdy jego twarzy,
 Gdy z odpowiedzią wyszedł z refektarzu²⁾
 I rzekł ją postom i wstąpił na wały
 Z krzyżem... wnet potem wszystkie działa grzmiąły.
 Gdy się to działo, na wieży kościelnej
 Grała muzyka, jakby w dzień weselny

¹⁾ Częstochówka — wieś pod Jasną Górą, spalona do cna przez Szwedów, dziś nie istnieje, a na tem miejscu wznosi się Częstochowa (Nowa).

²⁾ refektarz — stołowa izba w klasztorze, w której, jako najob-
 szerniejszej, odbywały się narady zakonników.

Lub święto, cudnie wdzięczne symfonije¹⁾,
 A tu latały kule, jakby żmije...
 Zgroza, co szturm on pożarł Szwedom ludu!
 My stali, ufni w moc Bożego cudu;
 Kule — widziałem — co nam szkodzić miały,
 O mur odbite, na Szwedów wracały,
 Niszcząc ich. Jedna przy niewieście padła,
 Kiedy dziecinę do kolebki kładła,
 I zgasła. Tako wrzał bój przez dzień cały,
 A wieczór znowu działa grzmieć przestały!...“

Lecz Bogdajłowicz, końca niecierpliwu,
 Rzekł: „Tam was bronił sam Bóg — jakom żywy!
 Ależ nam rzezcicie, jak was łaska Boga
 Przewiodła zdrowo przez szeregi wroga
 I jakoście się aż do nas dostali?“

A stary Jacek tak powiadał dalej:
 Kilku nas, starych, obsiadło armatę,
 Kiedy ksiądz przeor rewidował czatę.
 Był z nim Zamojski miecznik, Piotr Czarniecki,
 Ksiądz Piotr Lassota i jeszcze ktoś świecki.
 Przystąpił do nas i z uśmiechem w twarzy
 Rzekł: „„Cóż? wy zdrowo wyszliście dziś, starzy!““
 „„Zdrowo!““ odrzeklim. On stał, myślał chwilę
 I rzecze do nas: „„Nie po waszej sile,
 Ojcowie, ten bój, a radbym was zbawić.
 Do prowincyała²⁾ mam z listem wyprowadzić

¹⁾ symfonia — rodzaj utworu muzycznego na orkiestrę.

²⁾ prowincyał — przełożony prowincyi zakonnej, jak tutaj np. przełożony nad wszystkimi klasztorami paulińskimi w całej Polsce.

Księdza, toż i wy idźcie z nim, ojcowie,
 Bo wam do szturmów niedomaga zdrowie!““
 I serca nam się jeły bardzo smucić;
 Jużeśmy do nóg chcieli mu się rzucić,
 By nam dał zginać tu, a on nam powie:
 „„Są u was dary tak cenne, jak zdrowie.
 Rąk silnych brak wam — macie serca, dusze,
 Usta, — tych użyć na dobre ja muszę!
 Idźcie wy, ojce, każdy w swoje strony,
 Idźcie, wzywajcie ludzi do obrony,
 Idźcie i mówcie, coście tu widzieli,
 Mówcie, że z nami Marya i anieli!““
 To rzekłszy, dał nam święcone szkaplerze
 I błogosławił w drogę wszystkim szczerze;
 A kiedy na dół spuszczone nas sznurem,
 Staruszka, co tam mieszkała pod murem,
 Konstancya¹⁾, nogi owiła nam w szmaty
 I poza szwedzkie w noc przewiodła czaty...
 Tylem ja doznał Boga łask i cudu! —
 Szedłem i w drodze mówiłem do ludu...
 Słuchali i szli w bój...

„A toż nie cudem
 Bóg się niedawno objawił przed ludem?“ —
 Zawołał Bartek. — „Kilka niedziel temu
 Siedm kulek piersi przeszło jednemu
 Z pancernych. Długo leży w krwi i kona,
 Wtem szwedzkiej jazdy nadbiegła szkadrona²⁾;

¹⁾ historyczne; w czasie oblężenia Częstochowy służyła ta żebraczka za szpiega i za posłańca oblężonym (P. A.).

²⁾ szkadrona = szwadron, oddział jazdy (włosk. *squadrone*).

Patrzą, i zgroza zdjęła ich do kości,
 A więc doń wszyscy strzelili z litości
 I polecieli. — Zachód już był blisko,
 Wracają Szwedzi na to stanowisko;
 Stańli, dziwo! patrzy się szkadrona:
 On jeszcze we krwi tarza się i kona!
 Zwrócili; — strach ich począł gonić...¹⁾
 O, bo z nas ducha szablą nie wygonić
 Ni kulą! I nam też Bóg przepaść nie da!...
 Hej, ojce! bracia! jutro w noc na Szweda!..“

Stał i nalegał, przy nim młodzież cała
 Ścisnęła pięści i: „Na bój!“ krzyczała;
 Jacek zachęcał i ręką, i głową,
 I wielka wrzawa wszczęła się na nowo,
 Nawet Stach Krawczyk, choć pierwej się puszył,
 Stał przy Bartku, tak go Jacek skruszył.
 Już się Barycki o miasto nie trwożył.
 I Bogdajłowicz za tem się przyłożył,
 Kiedy wtem pośród zgiewku i okrzyków
 Podniósł się jeden z miejskich korzenników²⁾,
 Fryderyk — tego dziad był Niemcem z rodu!
 Lecz on już całkiem przyłgął do narodu
 Polaków. — Ten dłoń teraz w górę wznosił
 I panów mieszczan posłuchania prosił.
 A gdy ucichli, skłonił się i rzecze:
 „Prawda, iż wielką mamy Boga pieczęć!
 Lecz, gdzie bój z siłą nierówną zachodzi,
 Bracia! i Boga kusić się nie godzi!“

¹⁾ w tym wierszu brak dwu sylab — tak we wszystkich wydaniach.

²⁾ korzennik — kupiec korzenny.

Prawda, że taką rzecz niemiło zwlekać,
 Lecz zawsze radzę do wiosny zaczekać;
 Tak, gdy nas Szwedzi, nie daj, Boże! zbiją,
 Działwa i żony w lasy się ukryją;
 A teraz, szwedzkie co nie dotną noże,
 To mróz wytraci, albo głód przemoże“.

„Ot — rzekł Suszycki — ot Fryc, mądra głowa!“
 Ale Fryc ciągnął: „Panowie, dwa słowa!
 Widzicie, trzeba, nim się w czyn co ziści,
 Mieć tego czynu pewność i korzyści.
 Na cóż nam przeto wszczynać gwałt szalony,
 Kiedy Sącz będzie i tak uwolniony?
 A wiecie wy też, co się w Krośnie stało?
 Tam Wojniłowicz wziął załogę całą¹⁾,
 Zabił Prackiego i tu się już zbliża.
 A czy wy wiecie o wieściach ze Spiża?
 Tam nasz Starosta formuje piechotę,
 A pan Kochowski²⁾ będzie wieść tę rotę.
 A Wąsowicze, a chłopów drużyna?
 Wszystkie te wieści mam od aryanina:
 Tak! — lecz ja zwykłem chować wieści zawsze,
 Aż chwile dla nich staną się łaskawsze.
 Teraz, gdy rzecz ma taki słuszny powód,
 Podaję jako rady mojej dowód“.

¹⁾ Wojniłowicz, porucznik hussaryi hetmańskiej, konsystujący w Przemyślu, dowiedziawszy się o łupiestwach Prackiego w Krośnie, który z dominikanina stał się stronnikiem Szwedów i dla nich w Krośnie werbunek założył, wpadł tam z chorągwią wojewody czernichowskiego, ludzi Prackiego zabrał w niewolę, samego zaś, wyciągniętego z za pieca, kazał rozstrzelać (P. A.).

²⁾ Felicyan Kochowski, brat poety-kronikarza, był rotmistrzem piechoty nawojowskiej (P. A.).

„Słusznie Fryc mówi!“ — zawołali starzy.
 A Bartek cały spłonął ogniem w twarzy,
 Zgrzytnął, a potem pierś zacisnął silną:
 „Oj, Boże — jęknął — toż to im niepilno!“
 I na ramiona, gniewny, rzucił odzież,
 Wyszedł, a za nim wyszła wszystka młodzież,
 Gniewna i chmurna i pełna płomieni.
 Wyszedszy z Bartkiem, szeptali coś w sieni,
 I wnet cechowi ani się spostrzegli,
 Jako się młodzi po mieście rozbiegli.
 A tam za stołem jeszcze Gil z ławnikiem
 I Jacek spory toczył z korzennikiem
 O bój; Stanisław niedługo już bawił,
 Poszedł za Bartkiem i resztę zostawił.

ODKRYCIE.

Już północ — ogień w kominku się żarzy;
 Basia usiadła, pogląda i marzy.
 Kiedy stawiała dzban na lawatorze ¹⁾,
 Dziadkowie dawno już spali w komorze.
 Lecz, znać, do Maryi Panny się modlili,
 Bo jeszcze dla niej klęcznik zostawili
 I zostawili koroneczkę dla niej,
 By ją zmówiła do aniołów Pani,
 I lampę. Więc też Basia cicho wstała,
 Wzięła koronkę i modlić się chciała;

¹⁾ lawator, lawaterz — rodzaj miednicy z upustem do wody, używany szczególnie do mycia rąk w zakrystyi.

Lecz się wróciła do okna powoli,
 Pogląda, szuka gwiazdki swojej doli,
 Dumając; — i tak długo modre oczy
 Bezwiedna w sonej topiła przezroczy.
 Odeszła — dziwno! Ta sama świetlica,
 I lampa sprzęty te same oświeca,
 I wszystko stoi tak, jak dawniej stało,
 A jej się wszystko piękniejszym wydało:
 I rzeźby gładze, i powały bielsze,
 I twarze świętych w obrazach weselsze,
 I nawet Chrystus, klęczący w Ogrojcu,
 Mniej się na kielich skarży Bogu Ojcu,
 I święta Panna uśmiecha się do niej,
 I Kindze nie strach, choć Tatar ją goni;
 Czar jakiś dziwny rozlał tu się wkoło,
 Toż jej tak błogo, tak jej tu wesoło!
 Z jej ócz pół nieba wyziera odrazu,
 Tyle w nich światła i szczęścia wyrazu.

Wtem, znać, po czole przebiegła myśl pusta,
 Bo się prześliczne uśmiechnęły usta,
 I wnet radosna, z dziwnem czuciem w łonie
 Mirt i rozmaryn rwała w białe dłonie
 Z doniczek; potem lekko u zwierciadła
 We włosy to mirt, to rozmaryn kładła.
 A gdy się lubo uśmiecha, gdy stroi,
 Cudny sen dusza z cicha sobie roi
 O nim, — o lubym, — ach, a co pomarzy,
 Jak twarz w zwierciadle, edbite w jej twarzy.
 Upięła kwiatki, teraz składa dłonie,
 Kłania się, myśląc: „Tak dziadkom się skłonię,
 Tak družkom...!“ Słucha, słyszy jakies tony,

Niby muzyka — niby mszalne dzwony.
 On z nią: — już idą, a przodem kapela,
 Skrzypki, bas, kobza ¹⁾ i cymbał i żela ²⁾.
 Wkoło znajomi we świątecznych szatach...
 Znowu stanęła i przebiera w kwiatach;
 Po chwili rzuca wszystko, — bo już nudzi...
 Takie to dziwne szczęście, gdy się zbudzi.
 Usiadła, głowę oparła na dłoni,
 W oczach myśl, myślą gdzieś daleko goni...
 I posmutniała. W obcym kędyś kraju,
 Gdzie nie zna ludzi, mowy i zwyczaju,
 Kędy dzień chmurny, w noc księżyc nad skały
 Wschodzi, jak lampa z alabastru, biały,
 A nad borami gęsta wisi para...
 Jezioro — brzegi... tam domek Oskara!
 I widzi wszystko, jak on opowiadał
 Zna dom, jezioro, jodłę, kędy siadał,
 Dolinę, kwieciem ubarwioną świeżem,
 I bór, któredy błakał się za zwierzem,
 I jar, gdzie czysta, jako łąka, krynica,
 A w niej obojgu ich odbite lica.

Lecz zadumana rzekła wnet: „Mój Boże!
 Gdy mnie nie będzie, kto babce pomoże?
 Kto dziadka głośnem zabawie czytaniem?
 Biedna ja! — biedni! jak my się rozstaniem?!“

¹⁾ kobza — ludowe narzędzie muzyczne, składające się z kilku piszczałek i mieszka, trzymanego pod pachą.

²⁾ żela (częśćniej żele) — narzędzie muzyczne, złożone z dwu talarzy miedzianych.

Żalem i płaczem wezbrało jej łono;
 Już przed nią stoi rówienniczek grono,
 Krewni, znajomi z miasta i po siolach,
 Wszystko, gdzie była, ołtarze w kościołach,
 Obrazy świętych, gdzie składała modły,
 Miasto i drogi, co na pola wiodły,
 I brzeg Dunajca, i błękit gór siny,
 I te od jodeł ciemne rozpadliny;
 To wszystko teraz, niby płaczek rzesza.
 Chwyta się serca i na pierś się wiesza,
 Trzyma ją dziwnie i z nią razem szlocha:
 Jak ona wszystko, jak ją wszystko kocha!
 W dali — podobny do gradowej chmury —
 Mignął się Bartek smutny i ponury.
 W łzach, ale już się marzeniem promieni:
 „Może mnie kiedyś Bóg w jaskółkę zmieni;
 Nieraz mi stara cyganka mówiła,
 Że się ptaszyną dusza urodziła
 I, gdy zatęskni, skrzydełek dostaje
 I może lecieć, w jakie zechce, kraje,
 I niema dla niej ni gór, ani morza;
 Jeno niebios! O! ja ptaszka Boża!
 Rzucę go... siędę sobie w ogródeczku,
 Zaśpiewam dziadkom, gdy będą w ganeczku,
 I wszystkim naszym od serca zanucę,
 Ptaszyna! — i znów do Oskara wrócę...“
 Śni... lecz jej serce w sen miesza pytanie:
 „Kogo ze swoich ptaszyna zastanie?...“

I smutna głowę do stołu pochyła:
 Gdyby spoczynku — gdyby drzemki chwila!
 Przymknęła oczy i już snem oddycha.
 Śpiąc, jakieś słowa wymawiała z cicha:

„Rzną...!...“ niewyraźnie z ust się jej wyrwało,
 „Rzną!... Oskar...“ rękę zacisnęła białą.
 Budzi się; budząc, w przerywanej mowie
 Głośniej już słowo rzucała po słowie...
 Przetarła czoło...

„Mówił... że ma panów
 Srogich... tak!... — mówił — gorszych od szatanów...
 Smutnym był; mówił, że się bardzo smuci;
 Mówił, że wojsko i króla porzuci
 Dla mnie...“ I myśli znów: „On takim panem;
 Kocha i dla mnie chce zostać mieszczanem...
 Mówił mi...“ Strasznie błyszczały jej oczy;
 Wstrzęsła się, wstążka spadła z jej warkoczny
 Na pierś: lecz dalej przypomina, snuje;
 „Ha! on mnie mówił, że mnie wyratuje
 Z krwi!“ I stanęła dzika, odmieniona,
 I, patrząc, szepce: „Ulica czerwona,
 Krew... uciekają ludzie... w dzwony wala...
 Ach!... nasze miasto Szwedzi rzną i palą!“
 I tchu jej brakło, i osłabła całkiem;
 Chciała iść, oczy migły strasznie białkiem.
 Chwiejąc się, rękę do Maryi obrazu
 Podniosła; ręka opadła, jak z głazu:
 „Ratunku, Matko!“ Nagle trupio sina
 Krzyknęła: „O! o! Marya mię przeklina!“
 I padła; lecz wnet z rękami u czoła
 Zrywa się i w głos: „Mord! — rzeź w mieście!“ woła.

„Mord!“ głos jej dziki rozległ się po domu.
 Porwał się ze snu Janusz, jak od gromu,
 Zarzucił odzież, wpół Basię porywa,
 Za nim, drżąc, wbiegła staruszka sędziwa;

Lecz Basia z rąk się wydziera szalona
 I: „Mord! rzeź w mieście!“ krzyczy z głębi łona,
 Lata po izbie, Janusz znów ją chwyta,
 Tuli i wstrząsa i pieści i pyta.

Ona nic, jeno jęczy nieustannie:
 „Mord! — rzeź!“ i patrzy ku Najświętszej Pannie,
 I pokazuje obraz ręką siną,
 I drży, a z ocz jej gorące łzy płyną.
 Zmarszczył brwi Janusz, stał, nie myślał długo;
 Nóż porwał w jedną, strzelbę w rękę drugą,
 Otarł pył i proch obejrzał w panewce
 I rzekł do babki: „Zostań ty przy dziewce,
 Ja wyjdę!“ Wyszedł, staruszka została
 I, tuląc Basię, razem z nią jęczała.

Lecz wrócił Janusz: „Czy weszło w nią lichy?
 W mieście śpią wszyscy i, jak w grobie, cicho;
 Ni psa na rynku, jeno tam w gospodzie
 Coś kilku naszych zasiadło przy miodzie,
 A ta: „„Mord!““ wrzeszczy! Weź z wodą kropidło,
 Poświęć jej czoło, bo to snu mamidło!“

Lecz Basia nagle nasłoniła oczy
 I jęła: „Dziadku, wam krew szyję broczy,
 Wy trup! Mnie Matka Boża duszę wzięła
 Z piersi, tę moją duszyczkę przekłęta,
 Lampą mi ogień zapaliła w głowie
 Na rzeź. Idźcie wy, to wam Oskar powie,
 Jak mnie... No, chodźmyż — ach! jacy wy trudni!
 Chodźmy, on na nas czeka tam, przy studni“
 Chce iść; — ci zgrozą struchleli oboje,
 A stary Janusz załamał rąk dwoje,

Splakał i jęknął głucho: „Moje dziecię!
Tyle mojego było na tym świecie!
Straszność mi, Panie, dotknął głowę starą!
Lecz wnet za rękę wziął ją: „Chodź, ofiaro!
Chodź, nawiedzona czartem, chodź, ty sowo!
Chodź! Ludziom w karczmie krzycz: Ogień nad głową!
Daremnie babka, by został, błagała,
Daremnie Basia z rąk się wydzierwała;
Janusz ją silnem opasał ramieniem
I do gospody przeniósł ją podsieniem¹⁾.
Stanął w drzwiach: „Bracia, hej, tu, widzę, rada?
Milczcie no, teraz niech ta opowiada!“

Wnet go mieszczanstwo obstało kołem.
On między nimi stał, najwyższy czołem
I bolem. Krótco powiedział rzecz całą,
Jako usnęli, co się z Basią stało.
Słuchali; mowy nie przerwał nikt z cześci
Dla Basi i dla Janusza boleści.
„Teraz mów!“ — kończąc, wstrząsł nią, że aż jękała,
Z rąk się wyrwała starca i uklękała.

„Stójcie no! — Jacek Janusza łagodzi —
Niech z Bogiem duch się w dziewczynie odrodził!“
I, robiąc nad nią prawicą znak krzyża,
Sam do klęczącej Basi się przybliża.
A gdy się wpatrzył, rzecze: „W jej źrenicy
Czuć strach okropnej jakiejś tajemnicy;

¹⁾ podsienie — wystająca część dachu, wsparta na słupkach, rozdaj ganku.

Coś wie; tu zgroza w duszy! to nie mary,
Nie sny; tej głowy dotknął anioł kary.
Tu jakieś wielkie nieszczęścia nam grożą:
Ona wie, lecz my dojdziem z wolą Bożą.“
I zwolna Basię podniósł; ona wstała
Cicha i ręką szkaplerz pokazała,
Który z Najświętszą Panną z Częstochowy
Spadał u Jacka na żupan perłowy.
Jacek zaś na to z cicha: „Czy widzicie?
Mego szkaplerza nie lęka się dziecię,
Ciągłe spokojna na świętość spogląda;
Czystą jest, ale, znać, posiłku żąda.“
Ręką więc dał znak tym, co przy nim stali,
By się do Basi teraz nie zbliżali,
Zdjął szkaplerz, na głos począł mówić „Ave“¹⁾
I świętość zbliżał przed jej oczy łzawe;
Nagle: „O Maryo, ocuć ją!“ zawoła
I szkaplerz Basi przycisnął do czoła.

Drgnęła; — a gdy tak Jacek szkaplerz trzyma,
W krąg zdziwionemi spojrzęła oczyma.
Znać, że już duch w niej cudownie się budzi,
Bo, patrząc, wszystkich poznawała ludzi.
Po chwili senna i, jak posąg, biała,
Sama u czoła ten szkaplerz trzymała
Lewą, a piersi ujęła w dłoń prawą,
Jakby z nich chciała wydrzeć tę wieść krwawą.
I przemówiła, lecz tak sucho — groźnie,
Że się mieszczanom w duszy stało mroźnie:
„Oskar mnie kocha... sam to mówił do mnie.
Ja rzekłam, niechaj dziadków prosi o mnie.

¹⁾ Ave... — Zdrowaś (łac.).

Tulać mnie, dziwa powiadał mi srogie,
 Tylko ja sobie przypomnieć nie mogę,
 Choć dzwonią we mnie, jak pszczoły, te słowa;
 Ach! bo też dziwnie słodka jego mowa...“
 I uśmiechnięta stała, jak dziecina;
 Lecz, znać, już sobie wszystko przypomina,
 Bo pokraśniała; wnet z dzikszym ócz blaskiem
 Rzekła: „Pojutrze, z pierwszym zorzy brzaskiem,
 Mówił, że trąbka na zamku uderzy,
 Podpalą miasto, i każdy z żołnierzy
 Ma was rznąć; — ale ja się nic nie boję!
 Bo on ocali mnie i dziadków dwoje...
 A do mnie ciągle mówił: „Życie moje!“
 Mówił tak dziwnie słodko, żem słuchała,
 I to, co o was mówił, przepomniała...
 Za to mi Matka Boża duszę wzięła
 Z piersi i moją duszyczkę przeklęła!“
 To rzekłszy, jękała gwałtownie i zbladła
 I w ręce Jacka zemdlona upadła.

Śmierć była w izbie. Basi dzikie słowa
 Pękły nad nimi, jak wieść piorunowa,
 Którą w dzień sądu struchlałemu światu
 Zagrzmią anioły na chmurach z szkarłatu.
 Bez myśli, bez dusz stoją, skamienieli,
 I topią oczy w jej oblicza bieli,
 Niemi, jak z grobów wyrzucone mary. —
 A najokropniej bolał Janusz stary,
 Ale się pierwszy ocknął: „Rzeź! słyszycie?
 Ha! to kark za kark, a za życie życia!
 Zbudźcie się! Nie czas teraz do frasunku,
 Bóg dał rąk dwoje, — myślcież o ratunku!

Tu śmierć tak stoi, że jej nie ominąć,
 Jeno nam wyrznąć Lutrów albo zginać!...
 Ha! ciężko mnie Bóg zgnebił tą ofiarą,
 Lecz mi we dwakroć umocnił dłoń starą!“

Jacek zaś, Basię trzymając, rzekł na to:
 „I wyrznię Lutrów, ja wam ręczę za to!“
 Więc Janusz znowu: „O, jeszcze nadzieja!
 Niech kilku śpieszy szukać Bartłomieja,
 Do Marcowicza niech się kilku ruszy,
 Bo i to człowiek w ogniu kutej duszy,
 Wy, reszta, w ciszy wracajcie do domu,
 Ale szal słowa nie pisnąć nikomu.
 Bogiem niech każdy serce uspokoi
 I czem na jutro niechaj pięść uzbroi.
 Lecz, bracia, milczeć — milczeć przy niewieście,
 Boby nam krzyku narobiły w mieście.
 Ja moją Basię wzmę do kościoła.“
 Szli więc do domów, nasrożywszy czoła,
 Chmurni, a Janusz Basię w płaszcz owinał,
 Wyszedł i we drzwiach kollegiaty zginał.

R Z E Ź.

Wieczór się zbliżał; niebo jasne, czyste.
 Na Tatrach słońce stanęło ogniste,
 I ogniem spłonął Tatrów łańcuch biały.
 W ogniu Dunajca ścięte w lód kryształę,
 Baszty i wieże i obrotne mury
 Świeciły blaskiem wieczornej purpury:

W borach mrok siadał. Tak się z dniem żegnało
Słońce, malując okolice całą...

I zaszło. Tatrów królowna, Łomnica,
Sama słoneczne zachowała lica,
Ale wnet, senna, zsiniała i zbladła,
I noc na miasto i na góry padła.

Ledwie płomienie zgasyły na Łomnicy,
Dzwon z kollegiackiej ozwał się wieżycy,
I jęły wszystkie dzwony po klasztorach;
Smętne ich głosy płynęły po borach,
Turniach¹⁾ i skałach wzdłuż Dunajca brzegu
I aż ku Wiśle w dal łaunami śniegu
Właśnie szedł z Jackiem Janusz od kościoła.
Stanąłi, kornie pochyłili czoła
Przy „Ave“; potem, krzyż zrobiwszy dłonią,
Rzekł Janusz: „Hej — hej! W całej Polsce dzwonią!...
Zda mi się, że w niej wszystkie dzwony słyszę,
Taką precudną Bóg dał na noc ciszę“.
I tak ze sobą rozmawiając dalej,
Do węgierskiego muru się zbliżali,
Gdzie z baszt broń straszna błyskała: organki.
Otwarte stały kutej bramy szranki;
Tędy straż czeladź puszczała po siano,
Które w stodołach za miastem składano
Od ognia. Tłumnie szły po siano dziewczki,
Śmiejąc się, albo w głos zawodząc śpiewki.
Szwedzi zaś, którzy mieli w bramie straże,
Przejsć im wzbraniali, groźnie srożąc twarze.
Lecz dziewczki, pewne, że to tylko żarty,
Chórem się z szwedzkiej naśmiewały warty,

¹⁾ turnia — wierzchołek skalny.

Prosiły; ale wnet wolnym przesmykiem
Wszystkie do stodoł poleciały z krzykiem.

Jacek, to widząc, zauważył z cicha:
„Baczcie no, Szwed się nie spodziewa licha.
A czy widzicie? tam konne patrole
Sam Sztajn na objazd wyprowadził w pole“.
Ale wtem Janusz Jackowi dłoń ścisnął:
„Jacku, patrz! płomień na Morgani¹⁾ błysnął!“
Ogień rósł, góry, doliny i lasy
Groźnej w płomieniach nabierały krasy.
Wszystkie obłazy²⁾ wzdłuż Dunajca brzegu
Do pół czerwone wyrastały z śniegu.
„Ha, to znak Bartka! — rzekł Jacek. — Ja śpieszę
Do Marcowicza; — on już zebrał rzeszę“.
Odszedł, a Janusz, patrząc na płomienie,
Wszedł między Szwedów na bramne podsienie
I rzekł: — „Panowie Szwedzi, aj! figlarze,
Straszą dziewczęta; figlarze Bóg karze!“
Śmiejąc się, dodał. Szwedzi, radzi temu,
Odpowiadali żartami staremu.
Lecz wtem od strony ogniowych sygnałów
Gruchnęło kilka oddalonych strzałów,
Gdy straż broń chwyta, bacząc, co to znaczy,
Janusz pośrodku stanął i tłómaczy:
„To nic! — widzicie — w naszym górskim kraju
Wypalać płonie³⁾ mamy we zwyczajju.

¹⁾ Morgań — nazwa jednego ze szczytów pienińskich.

²⁾ obłaz — droga boczna w górach, manowiec górski, ścieżka na urwisku.

³⁾ płona, płonina — ziemia płonna, nieurodzajna, nagie, bezleśne pastwisko w górach.

Bo w popielisku po deszczu we wiośnie
 Trawa i pasza we dwójnasób rośnie.
 A ten huk, który strzałem się wydawa,
 To dyabła z wichrem po skałach zabawa;
 Jodły on z takim wywala łomotem.
 Wiercie mi, ja z tym obeznany grzmotem“.
 Broń więc złożyli, ufni starca słowu,
 I rzekli, że chcą dziewczki straszyc znowu,
 A Janusz, rady, że baczność rozegnał,
 Grzecznie się w bramie ze strażą pożegnał
 I szedł do domu.

Na skrócie przesmyka
 Nikburowicza przydybał, dzwonnika.
 Ten stanął i chciał znów, pełen frasunku,
 Mówić o Florka wczorajszym rabunku,
 Ale mu Janusz nie dał przyjść do słowa,
 Mówiąc: „Dzwonniku, o tem później mowa.
 Teraz niech wasze idzie na dzwonnice,
 I czekać!“ — Rzekłszy, zwrócił się w ulicę
 Do dom. I cisza powróciła w mury;
 W dali gorzały niebios a i góry.

A tam, przed kruchtą kolegiackiej fary,
 Siedział skulony Piotr, zakrystyan stary.
 Siedział i marsem¹⁾ u nagiego czoła
 Zabraniał ludziom wstępu do kościoła.
 Lecz przez otwarte na oścież podwoje
 W głębi, przy świetle widać ludzi dwoje.
 Ksiądz przed oltarzem stał, przed nim klęczała
 Dziewczyna, w modłach zatopiona cała.

¹⁾ Mars — rzymski bożek wojny; groźna mina.

To Basia! — Głuchy spokój u jej czoła...
 Smętna, jak nocna ponurość kościoła;
 Przed nią w komeżce kapłan białowłosy
 Stał z wniesionemi oczyma w niebiosy,
 Modląc się. Wkoło oltarze i groby,
 Blask lamp i cisza, noc i duch żałoby,
 Oblatujący kościelne sklepienie,
 Ciemne, jak Basi łzawych ócz spojrzenie.
 Jej twarz wybladła lampy blask ozłaca,
 Gdy, klęcząc, oczy do kapłana zwraca.
 Przytomna, lecz tak zniszczona w tej burzy,
 Że każde tchnienie, każdy szmer ją nuży.
 A kiedy westchnie, to widać z jej twarzy,
 Że o głębokiej jakiejś ciszy marzy.
 Babka ją Kindze poleciła świętej,
 Gdy ten czar straszny z jej duszy był zdjęty.
 Janusz miał przywieźć z Krakowa dwa wota:¹⁾
 Głowę ze srebra i serce ze złota.

Ksiądz Kustosz nad nią uczynił znak krzyża,
 A ona wstała, drżąca się przybliży
 Do starca i dłoń jego z cześcią ima, —
 Tak stali chwilę z łzawemi oczyma.
 Ale ksiądz począł: „Basiu, biedne dziecie,
 Dwie was, jak córki, kochałem na świecie;
 Jaśnie wielmożną Stannównę, ta Bogu
 Ślub uczyniła na klasztorным progu;
 I ciebie, Basiu! Uczylem was obie;
 A ty... inaczey myślałem o tobie.
 Lecz nie drzyj — dodał z łagodnym uśmiechem —
 Tyś nie wiedziała, jako żyłaś grzechem,

¹⁾ votum — pobożna ofiara (łac. *votum*).

I niespodzianie padł na cię cień kary;
 Wstałaś, — wróćże mi w życie pełna wiary!“
 A Basia na to: „Całą-m piersią żyła.
 We mnie nic, ojcze — przede mną mogiła;
 Serce Bóg rozdarł, ogień spalił głowę,
 I jak mi teraz począć życie nowe?
 Wszystkom straciła, prócz kilku pamiątek;
 Nie mam nic, cobym wniosła na początek,
 Na dzień, na pół dnia, na godzinę jedną.
 Nie mam gdzie oprzeć moją duszę biedną¹⁾,
 Jak ziemia wielka!“... Tu mowę przerwała,
 Patrzy na księdza cicha, smutna, biała;
 Wzrokiem go pyta. Ksiądz nie odpowiada,
 Tylko jej smutku głębie w oczach bada.
 Więc znów poczęła sama: „Przeszłam tyle!
 Wiek innym nie dał, ojcze! co mnie chwile.
 Ja już nie zdołam na świecie się nużyć,
 Lecz mogę i chcę, ojcze, Bogu służyć!...
 Znam pannę Zofię. Starościanka Stanno
 W klasztorze, — da Bóg, będzie starszą panną, —
 Ale i ona smutną dolę miała!...
 Może i dla mnie jest tam celka biała,
 Może mnie przyjmą za twojem wstawieniem;
 Dziadkowie moi nie pośledni mieniem,
 Me wiano chętnie ofiarują Bogu,
 Gdy ja ślub złożę na klasztornym progu.
 A zresztą, — sam mnie ćwiczyłeś w nauce:
 Nieuctwem, ojcze, ja ich nie zasmucę;
 Są tam panienki i z mojego stanu,
 Mój ojcze, zrób to! — daj mi służyć Panu!“

¹⁾ pow. b. *duszy biednej*.

Ksiądz Kustosz smutny poglądził jej lica:
 „O, niepoprawna z ciebie żałobnica!
 Klasztor? obaczym, co ci Bóg przeznaczy:
 Może to, — może zarządzi inaczej.
 Obaczym; lecz ty nie waż się wyrzekać,
 Bo wielkiej łaski dał ci Bóg doczekać!
 Ocuć się, dziecię! tyś od niebios Pana
 Na ocalenie miasta jest wybrana.
 Zbudź się! i radość niech w twem sercu gości,
 A wyrzecz się tej dla Lutra miłości!“

Wstrząsała się Basia, oczy w górę wzniosła,
 Patrzy w krzyż, w oczach jej dusza urosła;
 Blask miała w twarzy i tak odmieniona
 Wzięła krzyż, potem z całej głębi łona
 Rzekła: „Ja, ojcze, Lutra się wyrzekam!“
 Kłękła i ciszej: „Ojcze! rady czekam!“
 A kapłan na nią położył rąk dwoje:
 „Córko, ja życie błogosławię twoje!
 Bądź mocną! ludzie, co śmierci uciekli,
 Błogosławionstwo przeze mnie ci rzekli
 A gdy tak szczerze żałujesz za grzechy,
 To wiedz, że we łzach jest źródło pociechy.
 Płacz, módl się, córko, Bóg wszystko przebaczy!..“ —
 Wtem dzwon uderzył — raz — dwa...

„Co to znaczy?“

Powstała, słucha, już grzmiały wszystkie dzwony.
 Spojrzała; — w okna bije blask czerwony.
 „Gore?!...“ Ksiądz milczy... „Ojcze, czego dzwonią?“
 Blask rośnie; ona wzrok zakryła dłonią,
 Słucha, — jęk każdy serce jej rozdziera,
 Chwieje się: „Ojcze, ach! tam ktoś umiera,

A dusza z ciała wylecieć nie może!⁴
 Wtem kapłan ukląkł przed ołtarz w pokorze
 I podniósł ręce w górę. Na oblicze
 Biło mu z okien światło tajemnicze:
 „Dzień sądu! — szeptał — i lud mój zbawiony!”
 Dziewczę się w starca patrzy, jęcząc dzwony,
 A coraz mocniej blask uderza w oczy;
 Za ścianą słychać: tłumnie lud się tłoczy,
 Szczęk broni, potem jakiś krzyk od wałów,
 Potem zagrzmiała nagle salwa strzałów.

Zrywa się Basia, próżno ksiądz ją woła:
 Bez tchu stanęła już we drzwiach kościoła,
 Jęła boleśnie i na miasto goni,
 Kędy blask łuny i szczęk słychać broni.

W mieście bój. Z straszną halebardą w dłoni
 Pisarz Suszycki wprost na Basię goni;
 Wzrok jego dziki, przerażone lica,
 Przez plecy wiszą szabla i rusznica.
 Śpiesząc tak, Basi białą postać zoczył
 I, jak od widma, wstecz dwa kroki skoczył;
 Aż, ochłonawszy, zawołał: „Tam w bramie
 Bartek z czeladzią Szwedom karki łamie.
 Od stodoł — siano moje tam podpalił! —
 Za dziewczętami wpadł i strażę zwałił...
 Zginą tam! — lecz ja, — niech ich biorą czarty!
 Nie pójdę. — Basiu, kościół czy otwarty?”
 Lecz na pytanie pisarzowe głucha,
 Basia ucieka dalej i nie słucha.

A tu w ulicę kobiety i dzieci
 Cisną się; wszystko do kościoła leci.

Gędowiczowa na głos opowiada,
 Że już Wąsowicz z góralami wpada.
 Ich krzyk o mury dziko się rozbija,
 Ale ich Basia nie poznaje, mija
 I leci. Przed nią kilkunastu z bronią,
 Z dobozem miejskim ku rynkowi gonią.
 Basia za nimi; — już ujrzała rynek,
 Ratusz, gdzie stoją mieszczanie w ordyneku¹⁾,
 Zbrojni. Marcowicz, burmistrz, stał na przodzie,
 Dał znak — i cały oddział już w pochodzie.
 Tylko Stach Krawczyk nie stanął do frontu,
 Jeno pod połą coś krył naksztalt lontu,
 A gdy Marcowicz wiódł w zamkową stronę,
 Stach się na niebo obejrzał czerwone
 I zniknął. Basia chwilę się wstrzymała,
 Błada, płomieniem ozłocona cała.
 Na śniegu widać krew, szwedzkie tułowy
 Leżą: — tym piersi strzaskano, tym głowy.
 Znać, jako z domów na alarm wybiegli,
 Tak pod ciosami mieszczan pierwsi legli.
 Ale ta śmierci zgroza dla niej niczem,
 Ona z zwróconem w płomienie obliczem
 Stoi, i zda się, że czeka skinienia
 Od bijącego w niebiosa płomienia.

Nagle ją z tego zapatrzenia budzi
 Krzyk i przy domu narożnym tłum ludzi.
 Wielogłowskiego aryana mieszkanie
 Z Januszem starsi napadli mieszczanie
 I wynosili szable, strzelby, piki.
 Basia raz na nich rzuciła wzrok dziki

¹⁾ ordynek — szyk, porządek (niem. *Ordnung*).

I, jak spłoszona gołębicą białą,
 Ku Młyńskiej bramie z rynku poleciała.
 Jeszcze daleko od niej Młyńska brama.
 Ulica długa, noc, a ona sama
 Leci. Na prawo, słyhać, bój się wzmaga,
 Ale w niej jakaś nadludzka odwaga:
 Padają strzały, kule ryją w śniegu,
 Słyhać szcęk, lecz nic nie wstrzyma jej w biegu.
 A wtem przy stodół czerwonych płomieniach
 W prawo tłum zbrojnych obaczyła w cieniach
 Kościoła. Kościół był świętego Ducha.
 Dwoje dział ogniem na czarny tłum bucha
 Z muru; — ale ci, zbrojni siekierami,
 Rąbią mur; w środku hussarz ze skrzydłami,
 Jak anioł ognia, połyskuje w stali:
 Był to Wąsowicz z oddziałem górali.
 I właśnie Basia w tej chwili nadbiegła,
 Gdy się od siekier rozprysnęła cegła
 I tłum z ognistym aniołem na czele
 Wpadł na zamkniętych Szwedów przy kościele,
 Na cmentarz. Ale Basia nic nie zważa
 Na jęki, za nią lecące z cmentarza;
 Biegnie i oczu już o nic nie pyta,
 Sercem przeczuwa, sercem wieści chwyta.
 Wie, gdzie jest Oskar, i wie, że on żyje —
 Życ musi, bo jej serce dotąd bije:
 Zmilkłoby, gdyby on padł... „Paść nie może,
 Pokąd ja przy nim głowy nie położę!“
 W to jeszcze jedno teraz dziewczę wierzy,
 O reszcie nie wie nic — i dalej bieży.
 Luna szeroka, ponad luną dymy.
 Mur, bramne baszty, dwa czarne olbrzymy,

Znakami, jakby podwójnem ramieniem,
 Wieją nad bitwą w dole i płomieniem.
 A pod murami na iskrzącym śniegu
 Ujrzała Basia w ściśniętym szeregu
 Szwedów. Tam Oskar mignął się w przyłbicy
 Z mieczem błyszczącym nakształt błyskawicy,
 Owiany dymem rotowych¹⁾ wystrzałów.
 Wtem widzi... z Bartkiem młodź wpada od wałów,
 Jak lwy, a w górze nad młodzią przyświeca
 Bartkowa barda nakształt półksiężyca.
 Krawczyk zaś, jak czart, po murach się zwija,
 W rękę mu syka lont, jak kręta żmija,
 I grzmią co chwila Szwedowi organki,
 A mur w ogniste ubiera się wianki.
 Widzi to Basia i blednie, jak mara,
 Leci i krzyczy, gdy ujrzy Oskara,
 Milknie, gdy Oskar pośród tłumy znika.
 Na strzał już tylko od niej bitwa dzika,
 Lecz wtem z Furmańskiej ulicy wypada
 Marcowicz, a z nim mieszczańów gromada.

Złamało Szwedów burmistrza natarcie:
 Złamani, w kupach biją się zażarcie,
 Przez tłumy Basia przecisnąć się stara
 Tam, gdzie obaczy miecz lub hełm Oskara.
 Raz jeszcze trąbka wezwała w ordynek,
 Lecz darmo: musiał Szwed zwieść pojedynek
 O śmierć. I każdy swego tam znachodził:
 Burmistrz trębacz szablą w kark ugodził,
 Szydłowski strzelca w łeb ugodził młotem,

¹⁾ rotowy wystrzał—kiedy strzela razem rota, t. j. szereg żołnierzy.

Gilowi sierżant piersi skłuł brzeszczotem ¹⁾,
 Tego szewc Cyrus przebił halebardą,
 Bartek rajtara ²⁾ szwedzkiego ściał bardą,
 A Oleksowicz zranił muszkietera ³⁾;
 Pijanowskiego, gdy muszkiet odbiera,
 Trącił Jameński, wziął broń i wypalił.
 Bartłomiej znowu chorążego zwałił,
 Gadowicz Szweda zadławił kułakiem,
 Browarnik walczył zaś ogniowym hakiem ⁴⁾ —
 A wśród nich Basia, jak widmo rozpaczy,
 Rwie się, gdzie tylko Oskara zobaczy.
 Już Bartek krwią się po ramiona zbroczył,
 Gdy wtem Oskara blisko siebie zoczył.
 „Miejsca! — zawołał — precz! Ten smukły gaszek ⁵⁾
 Dla mnie! Odstąpcie wy! Ha! to mój ptaszek!“
 Oskar, to słysząc, przez tłum się przeciska
 I, mieczem krąjąc, nad głowami błyska;
 Ten hełmem, Bartek czapką pokrył czoło,
 Reszta zaś dla nich uczyniła koło.
 Trzykroć w tym boju darmo się szukali,
 Ale już teraz wobec siebie stali,
 Gniewni obadwaj, odważni i mściwi
 I tej z pod serca krwi jednako chciwi.
 Oskar miecz, Bartek silniej bardę ima,
 A powitali się najpierw oczyma.

¹⁾ brzeszczot — głównia, klinga u noża lub pałasza.

²⁾ rajtar — jeździec, z niemiecka uzbrojony.

³⁾ muszkiet — żołnierz, uzbrojony muszkietem, t. j. rodzajem dawnej strzelby, z której strzelano przy pomocy widełek.

⁴⁾ hak, hakownica — rodzaj dawnej strzelby bez bagneta, o zapale lontowym, ustawiana na dwóch hakach.

⁵⁾ gaszek, gach — załotnik.

Pierwszy ciał Bartek, ciał, jako w świerk smukły,
 I Oskarowi zagiął hełm wypukły.
 Oskar się zachwiał, ciał i gniew go pali,
 Bo miecz padł tylko na bardę ze stali,
 I tak wśród widzów co chwila cios nowy
 Szukał u obu to serca, to głowy.
 Oskar zręczniejszy, ten, silniejszy dłonią,
 Zwijał okrutnie swą ciesielską bronią.
 Szczęk tylko głuche przerywał milczenie,
 A oświecały ich stodoł płomienie.

Już Bartek Szweda w głowę ciał zamierzył,
 Lecz przeraźliwy krzyk wtem go uderzył.
 Wstrzymał cios: Basia przelekniona, zbladła,
 Z krzykiem na piersi Oskarowi padła
 I, topiąc w Bartku dzikie oczy swoje,
 Na hełm Oskara rąk złożyła dwoje.
 Wzdrygnął się Bartek; — ona mu oczyma
 Zakłęła rękę i w górze ją trzyma:
 Pobladł i na bok cofnął się z siekierą.
 Lecz wtem się inni do Oskara bierą ¹⁾.
 Natarli, on stał, lecz słabo się bronił;
 Więc Bartek własną bardą go zasłonił
 I do mieśczanów obrócił się z krzykiem:
 „Stójcie! On jutro będzie katolikiem
 Dla niej; — ja ręczę!“ ...

Lecz Krawczyk ponury

Z rusznicą w ręku patrzył na to z góry:
 „Bredzisz! Szwed żmija!“ zawołał i zmierzył:
 Padł strzał — strzał w serce Oskara uderzył...
 On padł.

¹⁾ pow. b. *biorą* (prowinc.).

W krew Basia wpatrzyła się blada,
 Sama przy piersiach trupa cicha siada,
 Padła... Tak, kosą ściętą, lilia pada.
 Porwał ją Bartek w ramiona: „Nieżywa!”
 Twarz senna, — w splotach włosów na pierś mu spływa.
 Patrzy w nią; jeszcze kraśne usta miała,
 Kędy skrzydlata dusza uleciała
 W skonaniu... U nóg jego barda leży —
 Wkoło bój — lecz on do boju nie bieży.
 Zapomniał, gdzie jest: szczęk oręży, kule,
 Jęk rannych, wszystko przyjmuje nieczule.
 Nie wie nic, tylko, że ją w rękach trzyma,
 Że mu umarła już, że już jej niema
 Nigdzie dla niego — i nic, jak szeroki
 Świat! Taki w sercu poczuł ból głęboki.
 Wtem Janusz stary nadszedł niespodzianie,
 A z nim Wąsowicz, górale, mieszczenie.
 Janusz skamieniał bólem, widząc Basię;
 Zatopił oczy w jej śmiertelnej krasie,
 Od zgrozy twarz mu zdziczała sędziwa
 I jęknął: „Boże! to ostatnie moje!”
 A Bartek odrzekł: „Ha! twoje i moje!”
 Nagle, jakby się obudził od grzmotu,
 Spojrzał: — Szwed w chłopca mierzył z bandelotu¹⁾,
 Więc Januszowi Basię zdał pomału,
 Odtrącił chłopca, stał i czekał strzału.
 Szwed chybił. Bartek porwał bardę z ziemi:
 „Czekaj, psie!” — wrzasnął piersiami całemi
 I, gdy Szwed sięgnął po nabój w kartuszę²⁾,
 Wleciał nań cieśla, jako czart na duszę,

¹⁾ bandelot, bandolet — krótki karabinek, zawieszony na pasie.

²⁾ kartusza (częściej kartusz) — pas z ładunkami.

I ciał, że z karku odskoczyła głowa.
 Krwi go oblała struga purpurowa,
 Lecz on, nie syty tej krwi w dzikim szale,
 Wpadł między Szwedów, a za nim górale
 Z kosami; ale barda tam rej wodzi:
 Co chwila krwawym półksiężycem wschodzi;
 Tak wśród kos i wśród góralskich toporów
 Sunie z nią, jak świerk, wyniosły król borów,
 A kędy ramię, niby gałąź, przegnie,
 Słychać jęk, potem ktoś w ciemności legnie,
 I głuchym szczękiem chrzęśnie zbroja cała
 Nad piersią, która żyć i czuć przestała.

Szeroko Szwedzi zalegli śnieg biały.
 Organki Stacha jeszcze raz zagrzmiały,
 Dym buchnął, i Stach zniknął w dymu kłębie,
 A ostatniego Szweda Bartek rębie¹⁾.
 Nikt nie poprosił, nikt nie dał pardonu²⁾;
 W niebo powrócił cichy anioł zgonu
 I wszystkie dusze w ręce oddał Panu,
 Jakoby kłosa, wybierane z ładu.
 Zdjął też i lilię ze skrzydełek jedną:
 Białą, przesliczną Basi duszę biedną.
 A dając Bogu, prosił za nią: „Panie!
 Ta lilia niech się aniołeczkiem stanie!”

Radość zwycięskie krasila oblicza.
 Wszyscy stanęli wkoło Wąsowicza,
 A ten im począł: „Opowiem Staroście,
 Jakoście dzielnie bili się waszmoście.

¹⁾ rębie — pow. b. rąbie (prowinc.).

²⁾ pardon — tu: darowanie życia.

Imieniem króla: górą Sądeczanie!“
 „Górą Wąsowicz! — krzyknęli mieszczanie —
 Górą Wąsowicz z bracią góralami,
 Górą! Jan Kaźmierz znów królem nad nami!“
 Na to Wąsowicz, dziękując, odpowie:
 „Dzielnście, ale, jak mi miłe zdrowie,
 Niema nad cieślę Bartłomieja chwata:
 Pójdź waść, niechaj cię uściskam, jak brata!“
 I gdy się hussarz z mieszczanem ściskali,
 „Górą Bartłomiej!“ wszyscy zawołali
 I trzykroć w górę orężę podnieśli,
 Wołając: „Górą sławna barda cieśli!“

Właśnie już Bartek bardę z krwi ocierał;
 Stał i spokojnie dokoła pozierał,
 Potem zdjął czapkę i rzecze: „Cześć Bogu,
 Że tak się naszych krzywd pomścił na wrogu:
 Nam się to, bracia, jutro dostać miało,
 Dał Bóg — dziś Szwedom od nas się dostało.
 Więc Panu najpierw, — potem ludziom dzięka!
 Równą tu pracę miała każda ręka,
 Każdy się równo wsławił dziełem krwawem“.
 To rzekłszy, z oczu łzy otarł rękawem.
 Ale wnet dodał: „Szkoda czasu psować,
 Tam ogień, — chodźmy do ognia ratować,
 By nam co jeszcze z domów nie zgorzało“.
 Poszli więc za nim w ogień rzeszą całą.

TRUMNA.

Ciesielską izbę ozłociło rano,
 A Bartek ciosał trumnę modrzewnianą;
 Ciosał sam w cichej, głębokiej boleści.
 Czeladź swą w miasto rozesał po wieści,
 Kiedy w tej pracy wyręczyć go chciała, —
 Bo to dla Basi ta trumienka biała.
 I znać, że piękną Basi trumna będzie:
 Wkoło warsztatu przeróżne narzędzie,
 Piły i heble, siekiery i dłóta,
 A część już spodnia gotowa i skuta,
 Biała, z modrzewia, jakby złana mlekiem:
 Bartłomiej jeszcze pracował nad wiekiem.
 Lecz jakiś straszny spokój w jego twarzy,
 Wzrok mu się dziko, beznamiętnie żarzy;
 Kamieniem twardym stanął na swej doli,
 Serce mogiłą — ale jeszcze boli,
 Okropne piekło jeszcze w sobie chowa;
 A nad nim pamięć, jak lampa grobowa.
 Warsztat na środku, po ścianach obrazy;
 Ściel ¹⁾ odpowiada echem ciężkie razy
 Klinów lub dłóta — barda szczęka smutnie,
 Kiedy nią w deskę modrzewiową utnie:
 Ona hełm tłukła, a teraz się żali,
 Jakby tam serce drgało w twardej stali.
 Toż Bartek, jakby złął się tego jęku,
 Bardę wpół ciosu zatrzymuje w rękę,
 Patrzy i, bólem omamiony, słucha,
 Czy jęk ten z bardy, czy z serca mu bucha?

¹⁾ Ściel — tutaj: pułap, strop, sufit.

Wnet silniej w dłoni toporzysko ścisnął,
 Ciął i oczyma ponuremi błysnął
 W zgrozie... Ach, wszystko! co serce kochało,
 Co pierś żywiło, w duszy urok miało,
 Wszystko w tej białej trumnie się zebrało!

I stanął; — znowu deski ogniem mierzy,
 Myśli i w własne nieszczęście nie wierzy;
 Porywa barde, puszcza ciosów mnogo,
 Jakby już o tem zapomniał: — dla kogo?
 Ale po chwili musiał w pracy przestać,
 Bo oczom światła, ręce siły nie stać
 Dłużej, tak boleść piersi mu szarpała
 I tak pod ręką rosła trumna biała.
 A gdy urosła, przeklął dzień rzemiosła,
 Pierś mu się ciężkiem westchnieniem podniosła:
 „O! chciałem — rzecze — inny dom postawić,
 Ha! lecz Bóg nie chciał ręce błogosławić,
 I stał się, Basiu, ze mnie cieśla lichy
 I wyciosałem, ot, ten domek cichy...“
 Spłakał, serce mu czarną krwią nabrzękło,
 Tłukło się dziko o pierś, lecz nie pękło.
 Po chwili kredą znak na desce zrobił,
 Wziął dłóto i wierzch krzyżem przyozdobił.

Skończył i wieko do trumny przyłożył,
 Oglądał; wieko od trumny otworzył
 I zatrzymywał wzrok nad każdą fugą¹⁾,
 Potem w głąb trumny wpatrywał się długo.
 Wzdrygnął się nagle, oczy zakrył dłonią,
 Jakby nad straszną obaczył się tonią;

¹⁾ fuga — szpara przez kant deski, w którą wchodzi wypukłość deski dopasowywanej.

W duszy pogrzebne zagrały mu dzwony,
 I, własną swoją pracą przerażony,
 Jęknął: „O Boże — Boże! Już gotowe
 Wszystko!“ — I dłońmi mocno ścisnął głowę.

W izbie się potem obejrzał dokoła,
 Rękę przycisnął do wrzącego czoła:
 „Gdyby krwi śladów na bardzie nie było,
 Myślałbym, że to wszystko mi się śniło:
 Ten bój — to Basi nieszczęsne skonanie...
 Wielkie tu dzieło poczęło się, Panie!
 I pójdzie dalej, co gromem się stało. —
 Ha, w mojej piersi tak strasznie gorzało!...
 Teraz? — o! ciche moje serce w sobie.
 Cicho tak będzie tam we świeżym grobie,
 Kiedy w nim złożą moją Basię biedną;
 Ten grób, a serce moje — oj, to jedno!“

Wtem Janusz z Jackiem weszli, i u proga
 Powitał Jacek cieślę w imię Boga;
 Nadszedł Gadowicz i patron Szydłowski,
 Potem Jameński wszedł i Pijanowski.
 Ci dwaj na siebie poglądują wrogo,
 Bo sobie uraz zapomnieć nie mogą.
 Wszedł Oleksowicz z rynku; — za nim wchodzi
 Thum Podhalanów i mieszczkańskiej młodzi.
 Milcząc, Bartłomiej powitał Janusza.
 Spojrzeli, obom z ócz mówiła dusza.
 Tak chwilką patrząc wobec siebie stali,
 A potem sobie obaj dłoń podali.
 I całe krwawe dni ubiegłych dzieje,
 Radość zwycięstwa, stargane nadzieje

I ból znać było w tym jednym uścisku
 I w wyrazistym szczerych spojrzeń błysku.
 „Cóż babka?“ spytał Bartłomiej po chwili.
 Janusz mu odrzekł: „Niech ją Bóg posili!
 Jak dziecko, stała się nieutulona. —
 Ze sąsiadkami w domu moja żona“.

Potem przybyłych wszystkich Bartek witał,
 Sadzał i prosił i o wieści pytał.
 A gdy zasiedli, on sparł się na trumnie
 I raz się wkoło obejrzał tak dumnie,
 Jakby świat cały miał pod swoją ręką —
 A ten świat białą kończył się trumienką!...
 Wtem rzekł Gadowicz: „Idziemy od bramy,
 Już, dzięki Bogu, i starostę mamy,
 Witaliśmy go setnymi okrzyki,
 Ma on ze sobą Nawojowców szyki —
 Dzielne, nie takie, jak te szwedzkie zgraje.
 Marcowicz właśnie zamek mu oddaje“.

„Ale Suszycki — przerwał jeden z młodzi —
 Po mieście teraz, jak otruty, chodzi.
 Chciał do starosty w bramie począć mowę,
 Lecz tak od wczoraj jeszcze stracił głowę,
 Że tylko gębę, jak gawron, otworzył;
 A wtem staroście burmistrz klucze złożył“.
 „Florcka złapano — Oleksowicz rzecze —
 Ho, już nam teraz ptaszek nie uciecze;
 Pod sąd i pod miecz!“

„Ja także mam sprawę —
 Rzekł Pijanowski — i to o niesławę.
 Jameński! ja wam męstwa nie odmawiam,
 Ale przed sądy wójtowskie was stawiam.

Padł Szwed, — ja chciałem broń porwać w tej chwili.
 A wy mnie na bok, jak psa, odtrącili“.

„Zgódźcie się, bracia!“ Bartłomiej zawoła.
 „Zgódźcie się, zgódźcie!“ — zagrzmiało dokoła.
 I potąd wszyscy na nich nalegali,
 Aż się obadwaj sporni uściskali.

Szydłowski, widząc, że Bartek ponury,
 Chciał mu rozpedzić z czoła owe chmury
 I począł: „Wiecie, co się z Stachem stało?
 Całkiem Krawczyka osmaliło działo.
 Leży Stach czarny, jakby smok wawelski,
 Klunie Szwedów i ów w dziale proch dyabelski,
 Który pękł, kiedy Stach działo podpalił,
 Rzucił Krawczykiem o ziem i osmalił.
 Długo tak leżał samotny na murach,
 Czarny, w okropnie czarnych dymu chmurach,
 I długo bardzo bolesną miał mękę,
 Niepewny, coby stracił — wzrok, czy rękę,
 Aż jakoś, gdy się skończył bój przy bramie,
 Ujrzał Stach, że miał skaleczone ramię“.

„Biedny Stach!“ — odparł Bartek Szydłowskiemu.
 Lecz wtem rzekł Jacek: „Cześć Bogu naszemu!
 Początek dobry: — no, a jakże dalej?“
 A Bartek na to: „Co tak Bóg zapali,
 Na samym Sączu zagasnąć nie może.
 My, młódz, w szeregi pójdziem w imię Boże!“
 „O! gdybym młodszy! — westchnął Janusz stary —
 A tak co ze mnie? Ot, chyba na mary!“
 Góral zaś krzyknął: „Bartku, do tej pory,
 Jeszcze nie syte krwią nasze topory!

Kędy wam droga, i my pójdziem z wami;
A wiecie, nieźle w boju z góralami!“

Lecz nagle Bartek drgnął na całym cielem;
We drzwiach obaczył wchodzącego Trełę
Z żebrakiem. Treła rzekł smutnymi słowy:

„Bartku, dla panny Basi grób gotowy“.

Powstali wszyscy smutni i ponurzy.

Bartłomiej jął się zbierać do podróży.

Bo miał z pogrzebu iść służyć wojacko,

Ale wtem Jacek głosi wieść żebracką:

„Hej! posłuchania dla starego dziada!

On o Czarnieckim wieści opowiada“.

A stary żebrak, spojrzawszy dokoła,

Rzecz: „Śławetni! — moja wieść wesoła.

Tak! — nasz Czarniecki Podgórze ¹⁾ już rzucił

I z hussarzami w Lubelskie zawrócić“.

„Więc za nim!“ — Bartek zawołał do młodzi —

„Za nim! — nad Polską nowe słońce wschodzi!“

Wziął trumnę, bardę, wybiegł; rzesza cała

Za nim do domu Janusza zdążyła.



340930

¹⁾ Podgórze — kraj podgórski, podkarpacki.

Wyszły z druku:

1. **J. Kochanowski.** Treny 15
2. **A. Mickiewicz.** Grażyna . . . 15
3. **J. Kochanowski.** Odprawa posłów greckich 15
4. **A. Mickiewicz.** Konrad Wallenrod 20
5. **K. Brodziński.** Wiesław 15
6. **P. Skarga.** Kazania sejmowe (Wybór) 20
7. **A. Mickiewicz.** Dziady 20
8. **Z. Krasiński.** Nieboska komedia 20
9. **Wincenty Pol.** Mohort 25
10. **A. Malczewski.** Marya 20
11. **J. Słowacki.** Lilla Weneda . . 30
12. **Z. Krasiński.** Irydion 40
13. **J. U. Niemcewicz.** Powrót posła 20
14. **J. Słowacki.** Balladyna 30
15. **A. Feliński.** Barbara Radziwiłłówna 20
16. **J. Krasiński.** Myszeis 20
17. **Fr. Zabłocki.** Sarmatyzm . . . 25
18. **J. Słowacki.** Beniowski 40
19. **W. Potocki.** Wojna chocimska 30
20. **S. Goszczyński.** Zamek kaniowski 25
21. **M. Romanowski.** Dziewczę z Sącza 20

W opracowaniu:

Ign. Krasiński. Pan Podstoli.

- Ign. Krasiński. Przypadki Doświadczyńskiego.
- Z. Krasiński.** Przedświt.
- Z. Krasiński.** Psalm przyszłości.
- A. hr. Fredro.** Zemsta za mur graniczny.
- Dalsze tomiki będą zawierały następujące utwory:
- A. J. Czartoryski.** Bard polski.
- Al. hr. Fredro.** Słuby panieńskie.
- J. Kochanowski.** Wybór pieśni i psalmów.
- Wybór fraszek.
- Szachy.
- K. Libelt.** O miłości ojczyzny.
- A. Mickiewicz.** Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego.
- Sonety.
- J. Pasek.** Pamiętniki.
- W. Pol.** Pieśni Janusza.
- Obrazy z podróży.
- K. Szajnocha.** Jagiełło i Jadwiga.
- J. Słowacki.** Bielecki.
- Mnich.
- Godzina myśli.
- Kordyan.
- Trzy poematy.
- Król Duch.
- F. Zabłocki.** Fireyk w zalotach.
- G. Żmichowska.** Wybór liryk.
- Poganka. i inne.

BIBLIOTECZKA UNIwersytetów LUDOWYCH.

1. **Konopnicka Marya.** Dym 6
2. — Banasiowa 6
3. — Nasza szkap 10
4. — Niemczaki 6
5. **Żeromski Stefan.** Siłaczka.— Na pokładzie 8
6. **Prus Bolesław.** Antek 8
7. — Na wakacjach.— Katarzynka 8
8. **Orzeszkowa Eliza.** Siteczko.— Czy pamiętasz? 8
9. — Babunia 8
10. — Ogniwa 8
11. — Panna Antonina 8
12. — A... B... C... 8
13. **Ślenkiewicz Henryk.** Janko Muzykant.— Latarnik 6
14. — Wspomnienie z Maripozy. Jamioł.—Organista z Ponikły 8
15. — Bartek zwycięzca 12
16. **Galle H.** Czytanki polskie I. 30
17. **Galle H.** Czytanki polskie II. 30
18. **Reymont Władysław.** Sąd. . . . 6
19. — W porębie. Przy robocie 8
20. — Tomek Baran 12
21. — Pewnego dnia 8
22. **Junosza Kl.** Froim.—Zając . . 8
23. **Kraszewski J. I.** Łoktek na łożu śmierci. Tatarzy na weselu 6
24. — Upiór 10
25. — Z dziennika starego dziada 10
26. — Profesor Milczek.— Rejent Wątróbka 6
27. — W oknie.— Nauczyciele sieroty 8
28. **Rzewuski Henryk.** Kazanie konfederackie.— Książd Marek (Z Pam. Soplicy) . . . 6
29. —Tadeusz Reyten 6
30. — Sawa.— Pan Borowski (z Pam. Soplicy) 10

340930

BIBLIOTEKA
OGÓLNA

31. Sienkiewicz H. Pieszko Czarny Łąd (Listy z Afryki)	8	69. Prus Boł. Cienie. — Z legend dawnego Egiptu — W górach	6
32. — Pieszko przez Czarny (Listy z Afryki) II.	8	70. Konopnicka M. Wojciech Zapala	5
33. — Na Oceanie Atlanty (Listy z podróży)	8	71. — W Winiarskim forcie	5
34. — Z puszczy amerykańskiej (Listy z podróży)	8	72. — Urbanowa	5
35. Prus Bolesław. Kamizelka. — Michałko	8	73. — Miłosierdzie gminy	8
36. Dygasiński Ad. W puszczy	12	74. Lenartowicz T. Wybór poezyi	8
37. — Wilk, psy i ludzie	10	75. Kondratowicz L. (Wł. Syromkła). Wybór poezyi	10
38. Junosza Kl. Wilki. Wesołego	8	76. — Janko Cmentarnik	6
39. Tetmajer Kaz. Książd Piotr	6	77. Hoffmanowa Klem. Dziennik Franciszki Krasieńskiej	20
40. Gomulicki W. Chałat	8	78. — Listy Elżbiety Rzezyckiej	15
41. Żeromski Stef. Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy	6	79. Czerneda M. (Bierzyński). Nieplakany	6
42. Skarbek F. Łukasz Stempel	6	80. — Kancelista	6
43. — Mundur. — Jaszczułt	6	81. Kraszewski J. I. Żywot i przygody imci Pana Józefa z Gozda, Hrabi Gozdkięgo. — Pan Starosta Kaniowski	10
44. — Dwie siostry. — Przewoźnik	6	82. — Jak się dawniej listy pisały	6
45. Wilkoński A. Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek, który na własne oczy widziałem	6	83. — Psiarek	6
46. — Gorzkie wspomnienia	8	84. Wilczyński A. Przykładnakara	6
47. — Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek	6	85. Chodźko Ign. Samowar	6
48. Żmichowska N. Prządki, powieść ze wspomnień dziecięcego wieku	8	86. — Domek mojego dziadka. — Śmierć mojego dziadka	10
49. Sienkiewicz H. Z puszczy Białowieskiej	6	87. — Boruny	10
50. — Niewola tatarska	8	88. Górski K. M. Biblioman	6
51. — Pójdźmy za nim	8	89. Lenartowicz T. Zachwycenie	4
52. Kętowski Jul. Wawrzyńcowie	8	90. Korzeniowski J. Karpaccy górale	10
53. Sienkiewicz H. Za chlebem	20	91. Kondratowicz L. (Wł. Syromkła). Ułaz	8
54. — Z pamiętnika nauczyciela poznańskiego	10	92. — Kęs chleba	8
55. — Sielanka. — Legenda żeglarska	6	93. — Jan Dębóróg	10
56. Siemieński L. Portret króla Jana. — Posłowie Siewierscy	6	94. — Trezłowe. — Spowiedź pana Korsaka	10
57. — Wieczór u gen. Kopia. — Wiązanka konwali	6	95. — Wielki czwartek	8
58. Sienkiewicz H. Orso. — Sachem	8	96. Asnyk Adam. Wybór poezyi	8
59. Gomulicki W. Oracz. — Filemon i Baucis. — Nieprzespany sen pani Maciejowej	6	97. Ujeński K. Wybór poezyi	8
60. Kosiakiewicz W. Sarna. — Literatura mojej żony. — Nabrzeństwo majowe	8	98. Pol W. Pieśń o ziemi naszej	10
61. Sewer. Łusia Burlak	10	99. Wasilewski E. Wybór poezyi	6
62. — Wiosna	10	100. Zaleski J. B. Wybór poezyi	12
63. — Dola	8		